

KRZYSZTOF BONK

ZAKON

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

Zakon

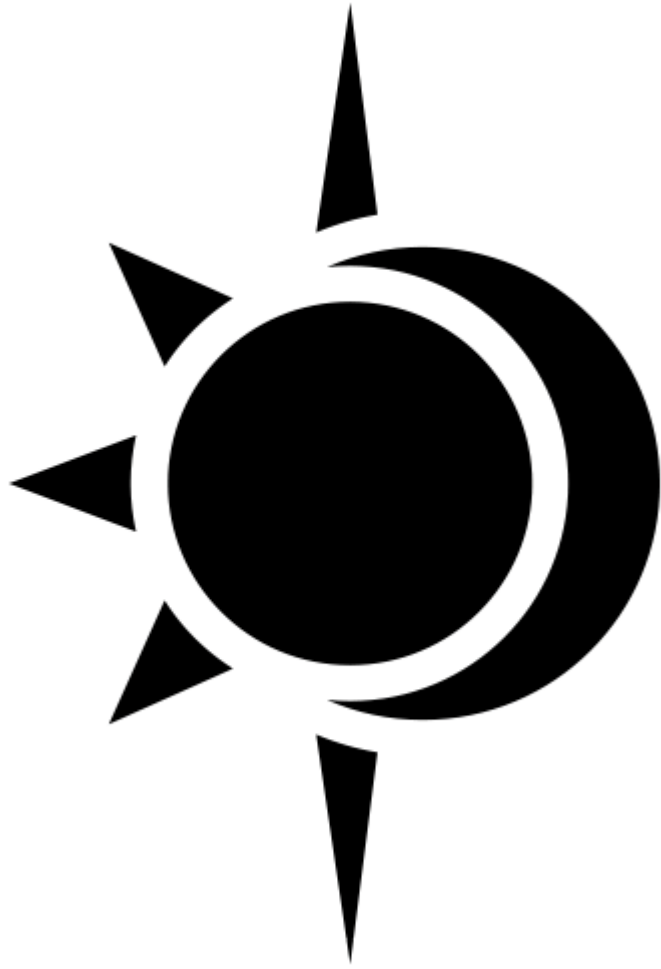
Cykl Pendorum III

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-949-4
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





I. NOWE ROZDANIE

Zjeżdżamy na rumakach z gór prosto w łagodną dolinę. Cały czas podążam przodem. W końcu po tym, co zostało nam objawione, któż inny niż ja, mógłby przewodzić?

Na pierwszym rozstaju dróg Zan wręcza mi pierścień z wygrawerowanym znakiem swego zakonu, skrzydlatym mężczyzną z głową psa. Według słów zakonnika ma to być zarazem przepustka do wszelkich zakonnych przybytków, w których mam prawo, a także powinnam szukać wsparcia.

Następnie żegnam się z tym mimo wszystko ciągle tajemniczym dla mnie mężczyzną. Oboje czynimy to ze spokojem, ponieważ wiemy, iż jeszcze się spotkamy. W końcu podobno zawsze się spotykamy i trwa to nieprzerwanie już od przeszło tysięcy lat.

Na moment odwracam wzrok, aby spojrzeć na szóstkę moich kompanów. Jadą karnie w trzech parach i upewniam się po ich zdecydowanych postawach, że są zdeterminowani, aby po sam kres to właśnie ze mną związać swój los.

Nie dziwi mnie to, wszak teraz jestem w ich oczach niekwestionowaną Boginią, choć niektórzy z nich od dawna mi sprzyjają, jak Gabu. Inni natomiast przechodzą swego rodzaju oczyszczenie. Publicznie wyjawione zostają ich kłamstwa odnośnie posiadanej przez nich przeszłości, co obnaża prawdziwe oblicza tych osób. Lecz mimo to oni widzą i czują dla siebie akceptację z mojej strony. I pod moją opieką pragną, aby takimi, jakimi są naprawdę, zaakceptował ich cały świat. Ja zaś poprzysięgam, że uczynię co w mojej mocy, aby dać im to.

Wkrótce zbliżamy się do niewielkiej zasypanej śniegiem wioski, w której znajduje się kilkanaście leciwych domostw i karczma. Zmierzam do

tej ostatniej w celu znalezienia tam godnego schronienia. Czym zapłacę za gościnę i nocleg? To się okaże na miejscu.

Tymczasem poprawiam się w siodle i kolejny już raz oswajam z myślą, że najprawdziwsza Anrea, to właśnie ja – jedyna i niepowtarzalna mityczna istota, od tysięcy lat zsyłana na ten świat tylko w jednym celu – zjednoczyć kontynent Pendorum, którego serce mam teraz u swoich stóp.

Wtem zostaję brutalnie wyrwana ze świata swoich rozmyślań. Gdy jesteśmy już przy karczmie, jej drzwi zostają raptownie otwarte z hukiem, niemal wyważone i na zewnątrz wybiega młodzieniec z toporem w dłoni. Obrzuca nas złowrogim spojrzeniem, szczerząc zęby w gniewnym grymasie i porywa się biegiem dalej. Z kolei w progu karczmy pojawia się starzec z rozpiętym szarym płaszczem i rozerwaną koszulą, który to mężczyzna wygraża pięścią, po czym grzmi za uciekinierem:

– Zabiję cię, złodzieju! Zabiję i twoje nędzne ścierwo nabiję na pal, by patrzeć wiosną, jak rozmarza i gnije!

Raptem za moimi plecami słyszę cichy brzdęk zwalnianego mechanizmu kuszy, a z przodu dostrzegam bełt, który wbija się w plecy uciekiniera. Ten pada z rozpostartymi ramionami na śnieg i w konwulsjach kona.

– Złodzieje niszczą handel, należy mi się śmierć... – Dochodzą do mnie niepewnie wypowiedane słowa Adory, niespodziewanej egzekutorki. Lecz szybko się okazuje, że bynajmniej nie będzie ona tu hołubiona za domniemane wymierzenie sprawiedliwości.

Ludzie z okolicznych domostw ostrożnie wychodzą na zewnątrz i z bojaźnią przyglądają się nam, to zastrzelonemu chłopakowi. Natomiast wygrażający mu uprzednio starzec załamuje ręce i pada przy nieboszczyku na kolana. A zaraz wznosi w niebiosy żałobne lamenty:

– Mój syn! To był mój jedyny syn! Co wyście zrobili, pomioty Otchłani! Mój syn! Synu...

Wobec takiego obrotu sprawy jestem naraz kompletnie zagubiona. Bowiem zgodnie ze słowami ojca, który właśnie traci syna, rzeczywiście przybywamy tu niczym siewcy śmierci. Czuję, że muszę stąd czym prędzej odejść i w spokoju zebrać myśli. Inaczej, podejmując pochopną decyzję, co też dalej czynić, obawiam się, że mogę jeszcze pogorszyć sprawę.

Tak postanawiam i dlatego zeskakuję z konia, po czym wskazuję, aby reszta mojej grupy uczyniła to samo. Następnie gestykuluję do Adory, żeby udała się ze mną do karczmy, pozostali zaś mają strzec drogi do tego przybytku.

Tak też się dzieje i wkraczam z roztrzęsioną dziewczyną do obszernego wnętrza. Jest wczesna pora i nie zastajemy żadnych klientów, a jedynie służącą za długą, drewnianą ladą.

– „Poproś o pokój” – czynię gesty do Adory. Patrzy na mnie kompletnie zdziwiona, ale wypełnia moje polecenie. Natomiast służąca, wsłuchując się w lamenty za drzwiami, z wyraźną obawą wręcza mi klucz i pokazuje schody na górę.

Niebawem zamykam za sobą drzwi skromnego pokoju i siadam na krześle przed komodą, nad którą znajduje się ścienne lustro. Dłuższy czas wpatruję się w swoje odbicie aż nakazuję Adorze:

– „Uczesz mnie”. – Zdejmuję z głowy moją nieodzowną chustę i rozpuszczam rude włosy. Z kolei dziewczyna za moimi plecami, z silnie drżącą górną wargą, bierze z komody grzebień i niezgrabnie mnie czesze. A zaraz słabym głosem oznajmia:

– Chciałam dobrze... chciałam się zasłużyć. Naprawdę nie sądziłam, że... Nie mogłam tego wiedzieć...

– „Sprawiasz mi ból” – gestykuluję, nie zważając na słowa Adory, a pokazując na moją napinaną skórę na czaszce.

– Przepraszam, ale tak trzeba, by wszystko rozczesać... – stwierdza płaczkliwym głosem dziewczyna i rozrywa kołtuny, jakie potworzyły mi się na zaniedbanych włosach. Potem wyjmuje ona spomiędzy zębów grzebienia strzępy rudych kłaków.

Tak, czasem musi być ból, aby wszystko powróciło do ładu – myślę zarówno o mojej fryzurze, jak i występku Adory i jednocześnie zyskuję przeświadczenie, co powinnam dalej czynić.

– „Chodźmy” – Dziewczyna kończy mnie czesać, a ja chwytam ją za dłoń i udajemy się na zewnątrz karczmy.

Tutaj sprawy wyglądają jeszcze poważniej niż wtedy, gdy opuszczaliśmy to miejsce. Exon oraz Ravel przepychają się z tutejszymi młodzikami

uzbrojonymi w pałki i cepy. Za to starszy mężczyzna na klęczkach wciąż tuli do siebie swego martwego syna, zalewając się morzem łez.

Stajemy przed nim, a gdy spogląda na nas, wyciągam nóż i głęboko ranię wewnątrz dłoni Adory. Zaskoczony starzec przeciera załzawione oczy, a ja, w nadziei, że mnie zrozumie, gestykuluję:

– „Przelaliśmy waszą krew i w zamian ofiarujemy naszą”. – Mocniej nacinam rękę, a struga krwi, na dobre już przerażonej dziewczyny, zalewa śnieg pod naszymi stopami. – „Lecz oddanie życia jednego z nas nie przywróci istnienia twemu synowi” – Przykładam ostrze do gardła Adory. – „Być może więc jest jakiś sposób, abyśmy użyli naszego życia, aby was wspomóc i przelać naszą krew w dobrej sprawie”.

– Kim ty jesteś... i o czym mi tu prawisz...? – pyta z bólem starzec.

– „Bądź moimi ustami” – zwracam się do zranionej dziewczyny z Saladior. Ona płacząco tłumaczy na głos moje intencje. Kiedy kończy, ojciec, który właśnie stracił syna, spogląda mi w oczy i ponuro oznajmia:

– Córka... Mam jeszcze córkę, którą kocham o wiele bardziej niż mego wyrodnego syna. Uwolnijcie ją, a wasze krzywdy zostaną zapomniane. Co więcej... jestem gotów sownie zapłacić.

Po tym oświadczeniu spoglądam z zadowoleniem na Adorę i sugestywnie pokazuję jej na moje już gładkie włosy. Mam bowiem przeświadczenie, że całą tę sytuację, która zapoczątkowana została wielkim bólem, możemy jeszcze szczęśliwie zakończyć. Z kolei starzec wskazuje ręką zachodni horyzont i wyjaśnia:

– Kilkanaście dni temu barbarzyńcy zeszli z gór. Pod koniec zimy zawsze do nas przychodzą i porywają najpiękniejsze niewiasty. Obecnie uprowadzili je, w tym moją córkę, i ruszyli wzdłuż rzeki na dalsze łowy do innych wiosek. Nie wiem, jak daleko odeszli, ani ile macie czasu, aby ich dogonić, zanim ponownie wrócą do swych siedlisk za Srebrzystymi Górami. Ale... na Boginię miłości i łaski Harremid... Powstrzymajcie bydlaków i zwróćcie mi ukochaną córkę...

– „Wyruszamy natychmiast” – gestykuluję, po czym wskakuję na swego rumaka. Gabu pospiesznie bandażuje dłoń Adory i zaraz zacieramy wszyscy na zachód, gdzie pośród zaśnieżonych pól wije się łagodnie częściowo zamrożona rzeka.

*

Tropimy barbarzyńców od kilku dni, aż powraca do nas, jak zwykle niezawodny w tych sprawach Ravel i radośnie oznajmia:

– Znalazłem ślady, świeże ślady, które zaprowadziły mnie do... – zawiesza głos i spogląda ochoczo na Virię. Ta pospiesznie podjeżdża do niego konno i całuje dłuższy czas w usta. A gdy przerywa namiętny pocałunek, udaje, jakby zdejmowała sobie coś z warg i patrząc na to, tajemniczo oznajmia:

– Ravel chciał powiedzieć, że odnalazł obozowisko barbarzyńców.

– Dokładnie tak! – przyznaje gromko.

– „Ilu ich jest”? – gestykułuję i od razu moje zapytanie głośno wyjawia Adora. Tak dzieje się za każdym razem, kiedy jest w moim pobliżu.

– Naliczyłem kilkunastu – oświadcza mężczyzna z chanatu Precis.

– „Dotrzemy do nich jeszcze dzisiaj”?

– Pomyślmy... – Ravel spogląda na stojące w zenicie słońce. – Damy radę, jeżeli nie będziemy zanadto oszczędzać rumaków.

– „Prowadź” – Wskazuję jednoznacznie.

Zachęcony mężczyzna rusza przodem, mając koło siebie Virię. Sama podążam tuż za nimi. Dalej jadą dwie kolejne pary moich wiernych kompanów oraz grupka wiejskich młodzieńców, których rozpala wizja walki w słusznej sprawie i odbicia swych kochanek.

Zapada już zmierzch, gdy docieramy na miejsce. Jest to przyprószony śniegiem zagajnik nad rzeką otoczony wzniesieniami, gdzie w jednym z pagórków mieści się jaskinia.

Wiążemy konie w sporej odległości od tego miejsca i skradamy się wzdłuż wyniosłości terenu, a potem przeskakujemy za skrywające nas masywne pnie drzew. Ja, Ravel oraz Kalilla znajdujemy się z przodu, a reszta podąża w pewnej odległości za nami.

W pewnym momencie mężczyzna z Precis daje nam dłonią znak, abyśmy się zatrzymali. Na ten sygnał zdejmujemy z Kalillą z pleców łuki, a Ravel zapala krzesiwem przygotowaną pochodnię. Zajmuje się ona ogniem, a wtedy rzuca ją daleko przed spowite mrokiem wejście do jaskini. Ogień

rozświetla to miejsce i wraz z nastłą jasnością w powietrzu pomykają nasze strzały.

Kolejni drzemiący barbarzyńcy zostają przeszyci drzewcami, zaś pozostali chwytają za broń i w pośpiechu szukają sobie osłon. Kiedy tracimy z oczu czyste cele, wysuwam przed siebie grot osmolonej strzały, natomiast Ravel ją podpala. Z tą chwilą posyłam rozżarzone drzewce pionowo do góry, a jest to umówiony sygnał do frontalnego ataku.

Uzbrajam się w parę mieczy i gnam w błyskawicznej szarży przed siebie. Tuż za mną biegnie reszta mego oddziału. Mijam zygzakiem kilka drzew, a za kolejnym dostrzegam przycupniętego mężczyznę w futrze. Tnę go ostrzem przez gardło, zadając szybką śmierć, po czym uchylam się przed uderzeniem młotem bojowym. Turlam się po ziemi, zadając głębokie rany w nogi napastnika. Pada na brzuch i wbijam mu dwa ostrza w kark. Wyjmuję miecze z ciała i dalej atakuję, zabijając skutecznie i szybko. Także moi kompani na flankach radzą sobie nie najgorzej.

Kątem oka zauważam Virię z przepaską na oku, która taranuje tarczą barbarzyńcę i wznosząc szaleńcze okrzyki bojowe, szlachtuje jego tors toporem. Kalilla oraz Ravel walczą za pomocą włóczni na pewien dystans i co raz przeszywają trzewia swych wrogów. Natomiast Exon czyni wokół siebie prawdziwy krąg śmierci, wymachując zręcznie mieczem i robiąc nim szybkie cięcia to obroty. Nigdzie nie dostrzegam Gabu ani Adory, a czasem przemykają mi przed oczyma sylwetki pojedynczych wieśniaków.

Tymczasem błyskawicznie zbliżamy się do wejścia jaskini, gdzie wciąż płonie rzucona pochodnia. Aż naraz z groty wychodzi łyсы mężczyzna w grubym futrze, przyciskający do swego torsu dziewczynę z nożem przy gardle.

– Zabiję sukę! Zabiję! – drze się jak opętany. Ja zaś czynię uspokajający gest zarówno do niego, jak i moich kompanów. Otaczamy półkolem parę z jaskini. Z kolei barbarzyńca dalej grozi, zdzierając gardło: – Odsunąć się albo szmata zginie! Rozstąpić się, mówię, bo... – Nagle słowa zostają dosłownie uwięzione w jego gardle, gdy przeszywa je stalowy bełt. Barbarzyńca łapie się za swą obficie krwawiącą szyję, wypuszczając ostrze z dłoni. Następnie pada na kolana i dusi się własną krwią.

Patrzę przez ramię i wiedzę tuż za sobą śmiertelnie poważną Adorę z kuszą w dłoniach. Lekko kiwam jej głową, dając o zrozumienia, że odpowiednio się rehabilituje.

W tym czasie Viria podskakuje do konającego mężczyzny i rozcina mu oko jego własnym nożem, a zaraz dziko posykuje:

– Złoto, kosztowności? Macie coś? Gdzie to ukryliście? Mów, bo będę dalej kroić...

– Tylkko kobiety... – rzęzi nieszczęśnik.

– Co kobiety? Jaśniej! – Viria nacina mu nożem wytatuowany policzek.

– Za cztery księżyce, w pełnię... Wszystkie kobiety zzbierzemy przy Liliowym Jeziorze... To wszystko, grhhh... – kończy żałośnie mężczyzna, kiedy Viria wierci mu wbitym bełtem w gardle.

– Wiem, gdzie to jest, Liliowe Jezioro... – odzywa się spokojnie Kalilla. Na co Exon staje przy niej, lecz zwraca się do mnie:

– To bez znaczenia. Barbarzyńca mówił o łączeniu sił. Więc pewnie będą ich tam setki ze schwytanymi kobietami. Nie dysponujemy taką mocą, aby móc się z nimi mierzyć.

– Więc niewiasty z księstwa mamy zostawić na pastwę tych... bestialskich zwierząt? – pyta z bólem Kalilla. – Moje nieszczęsne siostry z Razzinal...

– „Poszukajmy sojuszników” – gestykułuję. – „Gdzie możemy ich znaleźć”?

– Być może w innych wioskach – stwierdza w zadumie Kalilla, ale zaraz zdecydowanie się poprawia: – O kilka dni drogi stąd, nad wewnętrznym morzem, leży jedno z większych miast księstwa Razzinal, Orizzo. Proponuję się tam udać i szukać pomocy właśnie tam wśród możnych panów.

– „Pomogą”?

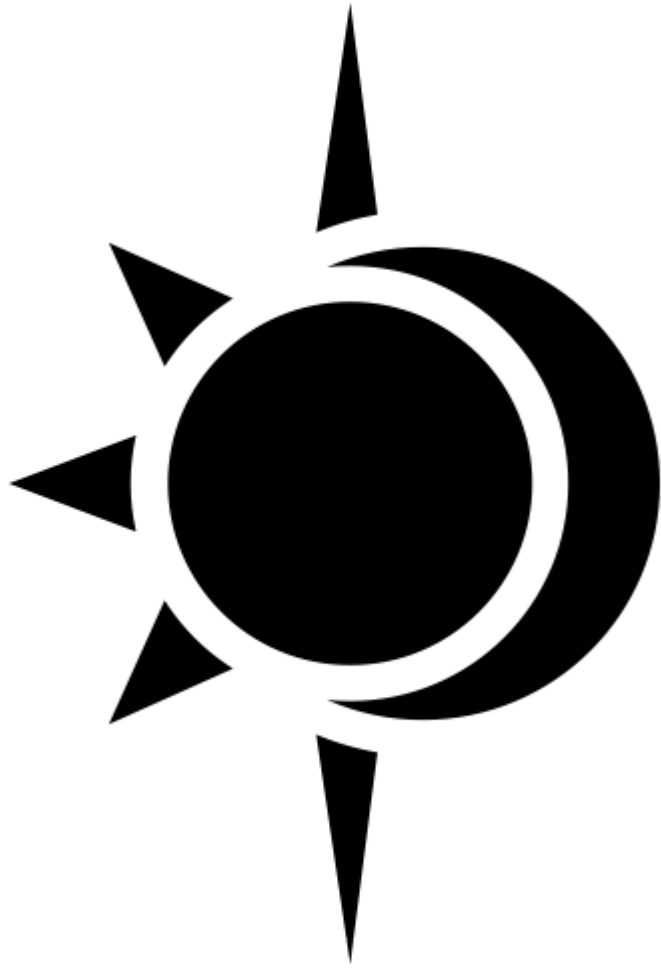
– Nie wiem...

– „Czy w tym mieście znajduje się siedziba Zakonu Łuku i Strzał Srebrzystej Łani”? – interesuję się.

– Tak – potwierdza Kalilla.

Chwilę się zastanawiam. W tym czasie zauważam wychodzące z głębi jaskini przerażone kobiety i dają ostateczną odpowiedź:

– „Przybyli z nami chłopcy odprowadzą uwolnione dziewczęta do ich domów. My natomiast udamy się po pomoc do wspomnianego miasta”.



II. MIASTO ORIZZO

Leżące nad wewnętrznym morzem miasto o nazwie Orizzo prawie w niczym nie przypomina znanych mi miejscowości z cesarstwa Terraticos. Przybywamy tu w czasie wczesnych roztopów, co sprawia, że miejskie drogi są grząskie, pokryte błotem i topniejącym śniegiem, jak również licznymi, zwierzęcymi odchodami, które uprzednio zamarzając, gromadziły się tu przez całą zimę. Większość mieszkańców nosi na sobie niezbyt wyszukane długie, powłóczyste szaty, granatowe lub czarne, jednolite albo też w niezbyt wyraźną kratkę. Same domostwa są po części drewniane i murowane, a solidarnie wieńczą je spadziste dachy, z których sterczą długie kominy. Niemal z każdego dobywają się kłęby szarego dymu.

W takiej scenerii Kalilla prowadzi nas przed gospodę w okolicę górującego w mieście zamku. Tutaj, w zamian za futrzane odzienia zabitych przez nas barbarzyńców, pozostawiamy w stajni rumaki i się rozstajemy. Moi kompani mają rozejrzeć się po mieście i zebrać jak najwięcej wieści o bieżących wydarzeniach w Pendorum. Także w miarę możliwości poszukać pomocy w celu udania się na odsiecz więzionym kobietom. Zaś pod wieczór spotkamy się w gospodzie, przed którą stoimy i ustalimy, co dalej.

Niebawem zostaję sama i kieruję się do bram zamku. Bez trudu je przekraczam, okazując jedynie pierścień podarowany mi przez Zana. Ubrana jestem w mój tradycyjny strój gladiatrix, lecz jest on schowany pod futrzanym, szarym płaszczem, który pada moim łupem po ostatniej potyczce z barbarzyńcami.

Kroczę po rozległym placu, przyglądając się otaczającym mnie strzelistym budynkom i kilku parom drzwi prowadzących do wewnętrznych pomieszczeń. Aż nad jedną parą podwójnych wrót dostrzegam obraz skrzydlatej kobiety z głową rogatej łani i z sercem w dłoni.

Kieruję się właśnie w tę stronę i stukam w drzwi ciężką, żelazną kołatką, zimną od panującego, wszędobylskiego chłodu. Zaraz niedawna sytuacja się powtarza, bowiem po otwarciu wrót oraz okazaniu pierścienia, jestem zaproszona do środka.

Jednak tym razem nie zostaję pozostawiona sama sobie i jedna z zakonniczek prowadzi mnie ciemnymi korytarzami na wewnętrzny dziedziniec. Tutaj podziwiam ćwiczące walkę włóczyniami kobiety, aż jedna z nich odkłada oręż i podchodzi do mnie, po czym spokojnie dźwięcznym głosem oznajmia:

– Witaj, niech doskonała miłość sławetnej Harremid zawsze będzie ci towarzyszyć. Zwą mnie Hamri i jestem tu zastępczynią wielkiej mistrzyni. Ty zaś jesteś...? – Po raz trzeci w ostatnim czasie demonstruję pierścień w nadziei, że to wystarczy. I rzeczywiście: – Ach, tak, więc to ty: – Kobieta o złotych włosach, wysoka i szczupła uśmiecha się do mnie dość dwuznacznie: – Niedawno przejeżdżał tędy Zan z zakonu Arezara i wspominał, iż możemy się ciebie spodziewać. Ciebie, czyli samej Anrei... – oznajmia i przygląda mi się dłuższy czas, czyniąc to jednak łagodnie. Potem wskazuje placem obręb placu pod wysoką ścianą i sugeruje: – Przejdźmy się...

– „Dobrze” – gestykuję.

– Jesteś niemową? – zaciekawia się Hamri.

– „Od urodzenia”.

– Nic nie szkodzi. Rozumiem twoje gesty – oświadcza śpiewnie kobieta. – Jak pewnie wiesz, my, zakonniczki Srebrzystej Łani, boskiej Harremid, poświęcamy się w dużej mierze opiece nad chorymi oraz potrzebującymi. Dlatego uczymy się także mowy tych, którym niedane jest głośno wypowiadać słów. Oni często potrzebują naszej... – ucina zdanie i zadaje mi bezpośrednie pytanie: – Pomoc, to właśnie jej u nas poszukujesz, nieprawdaż? – Czynię dość skomplikowane ruchy dłońmi, wyjaśniając, że grupa barbarzyńców porwała kobiety z północnych wiosek księstwa. Ja zaś pragnę uzyskać wsparcie, aby wspomniane niewiasty uwolnić. – Rozumiem... – mówi Hamri, gdy kończę gestykulować. – Rozumiem... – powtarza w zamyśleniu i pogodnie dodaje: – Możesz na nas liczyć.

Wystawimy dwadzieścia zakonnych sióstr i dwóch zakonników pod moim bezpośrednim przewodnictwem.

– „Dziękuję” – składam razem dłonie i lekko pochylam głowę.

– Nie, ty mi nie dziękuj... – oświadcza niemal radośnie kobieta. – Niech uczynią to wspomniane dziewczęta, gdy wspólnie uwolnimy je z rąk pomiotów Otchłani. A... czemu ci właściwie na tym zależy, na pomocy tym niewiastom...? – pyta nieco podejrzliwie, spoglądając na mnie z ukosa Hamri.

– „To moja powinność”.

– Powinność, hah! Doskonale – cieszy się zakonniczka. – Więc jeżeli wrócimy zwycięsko z tej wyprawy, rozważ wstąpienie do naszego zakonu. Wykaż się w bezinteresownej walce w słusznej sprawie, a wówczas sama się za tobą wstawię.

– „Wasz zakon” – gestykułuję w zamyśleniu.

– Tak?

– „Opowiadasz, że czynicie dobro pod wezwaniem Harremid, ale jest ona także Boginią bezwzględnej walki, krwawą Boginią. Czy nie jest to ze sobą sprzeczne”?

– Więc zapytujesz mnie, czy to paradoks...? – Hamri uśmiecha się przyjaźnie. – Otóż wiedz, że wszyscy Bogowie mają dwojaką naturę. Przejawiają dobre cechy, ale też posiadają swą ciemną stronę. I doświadczamy tego z całą siłą również w poświęconych im zakonach. Dlatego bardzo roztropnie należy wybierać wielkich mistrzów oraz mistrzynię. To oni głównie wiodą zakony w mrok albo też prowadzą ku światłu.

– „Skąd to rozdwojenie w zakonach i Bogach”?

– Ależ jakże to, skąd? Toż Bogowie są potomkami wielkiej, mitycznej Anrei, ha! – wypala wręcz radośnie Hamri. – To ona zapoczątkowała rozłam, a jej dwuznaczne czyny dualizm w miejsce jedności. Stworzyła kodeks dziesięciu zabronionych grzechów i sama je popełniła, podobno wszystkie, jeden po drugim. Jest Boginią, ale zauważ, iż od tysięcy lat kroczy po obliczu ziemi. Wreszcie pragnie zjednoczyć Pendorum, lecz jej czyny od zawsze wprowadzają tylko jeszcze większy podział i chaos. To

Anrea zapoczątkowała, iż to, co ludzkie i boskie, dobre oraz złe, prawe i nieprawe zupełnie się pomieszało. Dlatego w pewien sposób kochamy ją i czcimy, jako stwórczynię, Bogini Matkę, a jednocześnie swym dziedzictwem wzbudza ona lęk i sprzeciw. – Naraz Hamri przystaje i patrzy na mnie z nieskrywaną drwiną, oświadczając: – Spójrz tylko na siebie. Przedstawiłaś mi się boskim imieniem Anrei. Ale przecież nią nie jesteś, bo jakże to. Niewątpliwie więc skrywasz też inne, prawdziwe imię. Zatem kim tak naprawdę jesteś, hm...?

Zastanawiam się dłuższą chwilę nad możliwie dyplomatyczną odpowiedzią i gestykuuję:

– „Możesz mi mówić Matka Cień”.

– Cień?

– „Tak”. – Spoglądam, jak mój cień oraz Hamri nakładają się na siebie i łączą, zupełnie jakby należały do jednej osoby. Na odchodne jeszcze zapytuję: – „Wspominałaś, że jesteś zastępczynią wielkiej mistrzyni. Czemu ona nie pojedzie na odsiecz więzionym kobietom”?

– Hah... – Hamri uśmiecha się sprytnie i udziela odpowiedzi: – Jak wspominałam, w niektórych frakcjach zakonów, tak jak czasem w dualistycznej naturze Bogów, biorą górę te ciemne podszepty. I podejrzewam... że nasza wielka mistrzyni nie byłaby skłonna pomóc zgrai marnych wieśniaczek. Wybacz mą szczerłość i zachowaj te słowa, proszę, dla siebie. – Niespodziewanie kobieta całuje mnie naprawdę namiętnie w usta i żegna z pozdrowieniami miłości.

*

Jest już wieczór i wspólnie z moją drużyną przebywam w karczmie. Nie mamy pieniędzy, pożądanych tu monet, a za napitki i jadło płacimy łupami zdobytymi na barbarzyńcach, ich odzieniem czy bronią. Choć wśród wartościowych przedmiotów na wymianę posiadamy też zdjęte z martwych ciał ozdoby oraz amulety. Zasiadamy w gospodzie, która nie grzeszy przepychem i ma dość surowy wystrój. W takim zaś miejscu tym łatwiej odbywa się handel wymienny, gdzie niepodzielnie króluje Adora. Skutecznie się targuje, a wspiera ją milcząco Gabu z wartościowymi łupami w swych potężnych ramionach.

Poza spożywaniem wieczerzy dzielimy się uzyskanymi informacjami. Jako pierwszemu udzielam głosu Exonowi:

– Żaden arystokrata w mieście nie chciał z nami rozmawiać. – Załamuje ręce mężczyzna z Saladior. – Więcej, nawet do ich koniuszych nie dostaliśmy wstępu. Słowem tutejsi, majętni ludzie mają nas za nic.

– Może więc trzeba było ich czymś przekupić? Na przykład czyimiś wdziękami. Zdaje się ktoś z nas ma już w tym niezłą wprawę... – docina Ravel, spoglądając lekceważąco na Kalillę. Ta spuszcza nisko wzrok.

– Zamilcz koniokradzie... – cedzi przez zęby Exon i zaciska dłonie w pięści.

– „Dość tego” – gestykułuję i uderzam kuflem piwa o blat stołu, aż złocisty trunek z pianą częściowo wylewa się na zewnątrz naczynia. Następnie patrzę na kwaśne miny zebranych i czynię odpowiednie gesty. Po chwili Adora przedstawia pozostałym dobrą nowinę o wsparciu, jakiego udzieli nam Zakon Łuku i Starzał Srebrzystej Łani. Tym wyznaniem znacząco poprawiam nastrój przy biesiadnym stole i bliskie sobie pary wznoszą toasty trzymanymi w dłoniach kufkami. Choć zdaję sobie sprawę, że każdy z moich kompanów ma inną motywację, aby stoczyć kolejną bitwę z barbarzyńcami.

Spoglądam na Kalillę i wierzę w jej czyste intencje, sama bowiem sprzedawała swe ciało, ponieważ musiała to czynić i pragnie ona oszczędzić podobnego losu innym kobietom. Z kolei Exonem kieruje honor. Ravel oraz Viria są mniej dojrzały i czuję, że ciągle wabi ich przede wszystkim wizja bogatych łupów. Nie winię ich za to, albowiem to ich prawo. Zresztą także Adora zapewne chętnie widziałaby w naszym posiadaniu nowy sprzęt na handel. Natomiast Gabu ma miękkie serce i odnoszę wrażenie, że jeżeli może komuś pomóc, wówczas zwyczajnie to czyni. Jest to u niego ze wszech miar naturalny odruch.

Siedzimy tak dłuższy czas pogrążeni na jedzeniu i picciu oraz trywialnych rozmowach. Aż do stolika powraca Ravel.

– Karczmarz właśnie podzielił się ze mną ciekawymi wieściami – mówi.

– Mianowicie...? – pyta bez entuzjazmu Exon.

– Rozchmurz się, wojowniku. Oto będziesz mógł jutro sprawdzić się jako prawdziwy mężczyzna! – Ravel stawia przed kowalem z królestwa Saladior pełen kufel piwa.

– Znowu zaczynasz...?

– Ależ skąd. Już kończę, ha! – oznajmia prześmiewczo partner Viri. – Otóż władca tego miasta, niejaki bojar Alexy, urządza nazajutrz turniej niemal rycerski. – Na te słowa wszyscy wlepiamy ciekawski wzrok w mężczyznę z chanatu Precis. Ten ucieszenie kontynuuje: – A tak! Należy jedynie wziąć udział w pokazowej walce z tutejszym przedstawicielem rycerstwa i w razie wygranej z odpowiednią rangą trafia się do turnieju!

– Każdy może wziąć udział? – dopytuje tym razem z zainteresowaniem Exon. Na co Ravel utwierdza go w tym skinięciem głowy.

– Jaka jest nagroda? – rzuca łakomie Viria.

– Mój słodki całus... – Mężczyzna z chanatu wydyma ku niej usta. Na co ta odpycha go od siebie w kierunku partnera Adory i skrzeczy:

– Więc niewątpliwie Gabu weźmie udział i nagroda zmobilizuje go, aby zwyciężył, ha! – Wspomniany tłuścioch otrzymuje siarczyste uderzenie w plecy od Viri. Do tego stopnia silne, że krztusi się piwem i puszcza nosem bańki z piany. Następnie wyraźnie skonsternowany oświadcza:

– No co wy... – Wyciera pianę spod nosa. Z kolei Ravel macha na niego niedbale ręką, dając do zrozumienia, że teraz będzie już mówił poważnie i rezolutnie wypala:

– Za zwycięstwo w turnieju jest przyznawana tylko główna nagroda, czyli audyencja u wielkiego pana, organizatora tego spektaklu. Lecz dodatkowo sto tutejszych monet, niejakich...

– Razzenów – podpowiada Kalilla.

– Otóż to! – Klaszcze w dłonie Ravel i zawadiacko dodaje: – A co najważniejsze starcia mają się toczyć niemal bezkrwawo tępym orężem. Wystarczy więc przeciwnikowi nabić trochę sińców, a wówczas wielki pan... – szydzi mężczyzna z Precis – organizator turnieju, sam wskazuje zwycięzcę pojedynku.

Zapada dłuższa cisza, podczas której oczy moich kompanów skupiają się na mnie. Zaś te spojrzenia mówią mi tylko jedno i z chęcią ulegam tej

sugestii, gestykulując:

– „Wszyscy weźmiemy udział w turnieju”.

*

Z samego ranka ustawiamy się w rzędach na tutejszej arenie i każdemu z nas dane jest stoczyć szybką walkę z przedstawicielami rycerstwa. Choć w zasadzie to prawie każdemu z nas. Adorze w końcu udaje się wybłagać, abym nie posyłała jej oraz Gabu na wyzwanie, z którego wynieśliby zapewne jedynie nowe sińce oraz szramy. Przyznaję, że pyzata dziewczyna ma swoje racje i dlatego ulegam namowom.

Tym sposobem do udziału w głównym turnieju, po pokonaniu swych przeciwników, dostaję się ja sama, Ravel, Viria oraz Exon. Zaskoczeniem jest to, że Kallila daje się pokonać. Chociaż może nie jest to aż tak wielką niespodzianką. Od czasu swego uwolnienia ta kobieta jest mniej wojownicza i bardziej skryta, które to postawy pogłębiają się jeszcze po upublicznieniu przez Otcha jej minionej, wstydlivej profesji. Na szczęście nie dostrzegam, aby Exon, skąd inąd kowal, się od niej odwrócił. Liczę więc, że Kalilla niebawem odzyska dawny rezon, hart ducha i znów będzie brylować w błyskotliwej sztuce władania włócznią.

Obecnie zaś, oklaskiwani przez całkiem liczną widownię, toczymy swe pojedynki na zaśnieżonej arenie w kształcie prostokąta. Tutejszy przybytek jest o wiele skromniejszy od tych w miastach Terraticos, gdzie prowadziłam boje w turniejach. Wszystko tu wygląda na wykonane z mniejszym rozmachem. Zamiast chóralnych śpiewów i donośnych odgłosów bębnow, gdzieś w oddali słyhać jedynie pianie kogutów i rzenie koni. Podesty i trybuny zbudowane są głównie z drewna w miejsce kamienia czy marmuru. Zaplecze jest niewielkie i brak tu podziemi z celami dla walczących niewolników.

Tak, to niewątpliwie jeden z pozytywów, że walczymy tu jako ludzie wolni. Natomiast drugą korzystną okolicznością jest ta, iż pojedynkujemy się ze sobą o zwycięstwo bez potrzeby przelewania krwi i odbierania życia.

Z kolei o umiejętnościach bitewnych napotkanych na drodze miecza rycerzy z Razzinal nie mam najlepszego zdania. Wielu z nich jest opasłych z wielkimi brzuszyskami. Dodatkowo w ciężkich zbrojach stają się niezdarni i mało odporni na silne popchnięcia. I to do tego stopnia, że

potrafią stracić równowagę, paść ciężko na zaśnieżoną glebę i już się nie podnieść. Przypominają wtedy pancerne żółwie kołyszące się na swych skorupach i wierzgające bezradnie kończynami.

Tak oto nastaje już wieczór i bez uszczerbku na zdrowiu docieram do półfinału, gdzie mierzę się z Exonem. Zaś w równoległym pojedynku Ravel stoczy bój z jakimś zakonnikiem. Zapewne godnym siebie rywalem, bo ten w ćwierćfinałowej walce pokonuje Virię, wybijając jej tępym płazem miecza dwa zęby.

Kto wie, możliwe, że dane mi będzie się zmierzyć z pogromcą wojowniczej kobiety z konfederacji Favers, której Gabu właśnie czyni okłady lecznicze na opuchnięte usta. Najpierw jednak muszę się zająć Exonem. I z przekornym uśmiechem na twarzy dochodzę do wniosku, że jest to doskonały moment, aby wyrównać z nim pewien rachunek.

Rozpoczyna się starcie i obchodzę uważnie wojownika z królestwa Saladior, obracając w dłoniach parą otrzymanych na turniej przytępionych mieczy. W pewnym momencie stojący w miejscu Exon, bierze na mnie obszerniejszy zamach, a wtedy markuję atak. Zgodnie z oczekiwaniem mój przeciwnik posyła ku mnie wyjątkowo zamaszyste uderzenia, a ja, przygotowana na to, odskakuję z łatwością do tyłu, po czym natychmiast kontratakuję. Krzyżuję razem ostrza i uderzam nimi Exona w tors. Następnie czynię fikołek w bok i ponownie staję w gotowości.

Uśmiecham się, patrząc przeciwnikowi w twarz. On sam ma nietęgą minę. Rozumie bowiem, że gdyby była to prawdziwa walka, już byłby na arenie trupem. Dlatego nabiera należącego mi respektu i przyjmuje postawę obronną, szeroko rozstawiając nogi i uginając kolana. Bardzo rozsądnie, bo jestem dla niego za szybka, aby mógł mnie swobodnie atakować. Teraz natomiast sprawdzę, jak się spisuje w defensywie.

Odchodzę trochę do tyłu, aby nabrać rozpędu i zaraz biegnę wprost na wojownika. Skaczę w jego kierunku, a on, gdy jestem w powietrzu, uderza we mnie długim mieczem, cofając się jednocześnie. Nasze ostrza spotykają się razem i w ten sposób wytracam impet, po czym spadam nogami na ziemię. Lecz od razu przechodzę do przykłąku i z tej pozycji atakuję kostki przeciwnika. Dosięgam jedną z nich, ale nieostrzy miecz nie wyrządza żadnej krzywdy męskiej łydce. Zaś jej właściciel, korzystając z okazji,

uderza na mnie mieczem z góry. Paruję ten cios skrzyżowanymi ostrzami nad swoją głową, a Exon ponawia atak, tylko po skosie. Wobec tego błyskawicznie odtaczam się poza zasięg jego broni. A gdy miecz mego przeciwnika spotyka się z zaśnieżoną ziemią, podskakuję zwinnie do partnera Kalilli i z najbliższej odległości zadaję potężny cios klingą w krocze mego kompana.

Oto i wyrównany rachunek za obietnice wspólnego życia, których na swoje szczęście ten mężczyzna nie zdołał ziścić. Jednak kobieca natura jest jedna i takie rzeczy pamięta. Czy to jest zemsta? Ależ skąd, jedynie przyjacielski kuksaniec...

Z figlarnym uśmiechem na ustach odchodzę od Exona w momencie, kiedy na trybunach rozchodzi się przeciągły jęk, a męska część publiki chwyta się za swe krocza. Podobnie czyni Exon, choć on z wiadomych względów, wydaje się cierpieć o wiele bardziej. Leży zgięty w pół z grymasem bólu na twarzy i pospiesznie robi sobie między nogami okład z lodowatego śniegu.

Zaraz na arenę wbiega Kalilla. Posyła mi nienawistne spojrzenie, widząc, że się uśmiecham. Potem razem z Gabu pomaga opuścić obolałemu mężczyźnie z królestwa Salador plac boju, miejsce upokorzenia jego męskiej dumy.

W tym czasie podrzucam nonszalancko miecze do góry, by łapać je w locie i idę na zaplecze oczekiwać rychłej, finałowej walki. Na miejscu dochodzą mnie z areny gromkie wiwaty, które jednak wyjątkowo szybko milkną. I już za chwilę do pomieszczenia, gdzie przebywam, wkracza Gabu podtrzymujący na ramieniu Ravela z paskudnie rozkwaszonym nosem.

Więc tajemniczy zakonnik pozostaje dla mnie na deser – myślę, pewna swych bitewnych umiejętności. Ponownie wkraczam na zaśnieżony plac i raptem bardzo rzędzie mi mina. Opancerzony mężczyzna w zakonnej zbroi uśmiecha się do mnie złowieszczo, spijając ze swej pancernej rękawicy krew Ravela. Zakonnik ma zdjęty hełm i tym samym odsłania łąsą czaszkę pełną napisów, a znam te napisy. Rozpoznaję także srebrny, nienawistny mi wzrok. Ten również znam i to aż za dobrze.

Przez chwile myślę, iż doświadczam jakiegoś szaleństwa i cały świat uwziął się na mnie. I zaraz dochodzę do przekonania, że tak właśnie jest.

Pewien aspekt świata naprawdę mnie prześladowa i zawsze będzie tu ze mną, zsyłając brzemień przeszłości na me ramiona. Albowiem nagle doznaję olśnienia, z kim tak naprawdę mam się tu zmierzyć, a utwierdza mnie w tym swym krzykiem postać naprzeciw:

– Abezzal! To moje prawdziwe, odwiedczne imię! – chrypi zakonnik i postępuje ku mnie, ciągnąc za sobą miecz, którym ryje w śniegu. Jednocześnie mój śmiertelny wróg pośepnie wylicza: – Czas na karę za kłamstwo... zdradę... rozpustę... chciwość...

– „Czas na krwawą zemstę za moich ziemskich rodziców” – gestykułuję w odpowiedzi, obnażając wściekle zęby. I w tym momencie, z powodu porywającego mnie raptem gniewu, jestem gotowa zatłuc tego mężczyznę... to ścierwo! Zatłukę to ścierwo tępymi mieczami na śmierć! Nie bacząc na wszystko, zaprawdę uczynię to... To jakiś obłęd, a nad szaleństwem się nie panuje i ono porywa mnie swe szpony, nie zamierzając wypuścić z morderczego uchwytu.

Ściskam miecze i biegnę co sił na mego mitycznego małżonka, po czym w potężnym wyskoku szybuję ze stopą zwróconą w jego znienawidzoną twarz. Ten przyjmuje gardę i moja noga trafia w jego skrzyżowane ze sobą ręce. Spadam na ziemię i z przykłęku okładam ostrzami opancerzona uda i golenie, ale oczywiście, nic to nie daje, metalowa osłona zbroi jest zbyt potężna. A zaraz intuicyjnie odtaczam się w bok. Tak, instynkt mnie nie zawodzi, właśnie unikam ciosu mieczem, który z góry wbija się w miękką ziemię i śnieg, rozbryzgując je na boki.

Doskonale rozumiem, że muszę się skoncentrować na odsłoniętej głowie wysokiego i postawnego przeciwnika. Zatem ponownie ruszam do boju i już zamierzam uczynić wyskok, gdy gwałtownie wysunięta, opancerzona pięść trafia mnie w klatkę piersiową. W efekcie zostaję odrzucona do tyłu i padam bez tchu na ziemię. Szeroko otwieram usta, starając się zaczerpnąć powietrze. W tym czasie Abezzal tnie w moim kierunku raz za razem mieczem. Cofam się na siedząco i wiję, jak mogę, unikając uderzeń, aż jeden z wymachów wrogiego oręża zahacza o częściowo odwiniętą chustę na mojej głowie i ta zostaje z łatwością rozcięta. W tym momencie zastygam z wrażenia, bowiem uświadamiam sobie, że mój śmiertelny wróg walczy jak najbardziej ostrą stalą!

Wzbiera we mnie dodatkowy gniew, który wypełnia mnie na wskroś i daje niepokromioną siłę. Moje oczy się rozświetlają, płuca wypełniają mroźnym powietrzem i już gnam na przekłętego zakonnika! Czynię jeden i drugi unik przed jego ciosami mieczem, kolejne ataki paruję swoimi ostrzami, po czym wybijam się w górę i z impetem uderzam czołem w twarz Abezzala. Opadam na ugięte nogi, by raz za razem wymierzać ciosy krótkimi mieczami w znenawidzoną twarz z taką siłą, że tępy metal pozostawia tam krwawe pręgi.

I tak pragnę krzyczeć, aby wyrzucić z siebie wzbierającą jeszcze furię! Zaś gdybym tylko mogła ze swej piersi wydobyć jakikolwiek dźwięk, to nim samym rozerwałabym mego znenawidzonego wroga na strzępy!

Zamiast tego gwałtownie kucam i podcinam mu nogi. Ten pada jak kłoda na ziemię, a ja stoję obiema stopami na jego zbrojnym ramieniu. Teraz jest mój i zamierzam się na nad nim pastwić i to powoli. Będę okładać go tępym żelastwem w moich dłoniach tak długo aż starczy mi tchu!

Gdy nagle...

Nie! Nie! Pragnę krzyczeć, aby puszczono mnie wolno, ale dwóch potężnych mężczyzn chwytają mnie pod ramiona i odciągają do tyłu. Zaś w sukurs idą im następni, którzy łapią mnie wpół. Także Abezzal jest obezwładniany i ktoś wyrywa mu z opancerzonej dłoni ostry miecz.

I niebawem jestem już na zapleczu, jest już po wszystkim...

Nagle dociera do mnie, że niemal zabiłam Abezzala i naprawdę zrobiłabym to, gdyby tylko mi nie przeszkodzono. Tym samym popełniłabym grzech mściwości i jako mitczna Anrea kolejny raz zaprzepaściłabym szansę na zjednoczenie kontynentu Pendorum.

Pendorum...

Zemsta...

Mityczna Anrea...

Posłannictwo...

Przekleństwo...

Te pojęcia kołaczą mi się po głowie i próbuję zdać sobie sprawę, co się właściwie ze mną dzieje i dokąd tak naprawdę zmierzam. Czy zawodzę?

Kręcę głową ni to z niedowierzaniem, ni przecząco i już wiem, że jakimś sposobem muszę się opanować. Po prostu muszę to zrobić i spojrzeć na swe istnienie w nowym wymiarze, aby nie powielać starych błędów. Muszę być zimna, wyrachowana i zdecydowana, by ostatecznie podjąć decyzję komu chcę służyć. Czy własnym ludzkim słabościom jak zemsta. Czy też wzniosę się ponad to i uczynię coś więcej nie tylko dla siebie, ale również i świata.

Spoglądam w kąat pomieszczenia, gdzie przyglądają mi się zgodnie i z rezerwą moi kompani, którzy oglądali ostatnią potyczkę. Patrząc na nich i dochodząc do wniosku, że oto mam przed sobą przedstawicieli władztwa kontynentu Pendorum, ludzi, którzy obecnie składają swój los w moje ręce. Czy więc ich i innych mogę zawieść? Nie, przecież nie mogę tego uczynić i nie chcę tego. Muszę przede wszystkim myśleć o nadrzędnym celu oraz innych ludziach, muszę dojrzeć i to natychmiast.

Snując takie rozważania, wkrótce prowadzona jestem już na audiencję z bojarem Alexym, organizatorem turnieju, na którym, jak się właśnie dowiaduję, zwyciężam. Bowiem Abezzal, za używanie nieprzepisowego oręża, zostaje zdyskwalifikowany.

Oczywiście ten drobiazg przyjmuję z aprobatą. Mojej drużynie przydadzą się jakiegokolwiek pieniądze, skoro za jej pomocą mam wypełnić swe posłannictwo i zjednoczyć cały wielki kontynent z jego nieprzeliczonym bogactwem – uśmiecham się przekornie w duchu.

Mój wewnętrzny uśmiech nieśmiało wdziera się także na moją piegowatą twarz. Ale zaraz poważnieję, przekraczając kolejne drzwi w korytarzach niewielkiego zamku. Aż docieram do sali, gdzie rozpoznaję osobę obserwującą niedawny turniej z honorowego miejsca.

To bojar Alexy, który również w tym pomieszczeniu zajmuje miejsce na podwyższeniu, zasiadając u szczytu komnaty na całkiem eleganckim, choć w całości drewnianym tronie. Postać ta prezentuje się jako starszy już mężczyzna z długimi, kędzierzawymi włosami w kolorze siana. Strój ma luźny składający się z kilku warstw, w tym obfitujący w bufiaste rękawy. Zaś w całości ubioru dominują granatowe barwy poprzeszywane złotymi nićmi. Po bokach tej całkiem sympatycznie wyglądającej osoby dostrzegam doradców, lokajów oraz uzbrojonych strażników.

Staję dość sztywno na środku sali w swoim stroju gladiatrix, a wtedy władca tego miasta wręcz teatralnie do mnie przemawia:

– Niech pozdrowiona będzie sama mityczna Anrea! – Puszczą mi oko i wiedzę, że sobie ze mnie dworuje. Lecz zaraz robi zafrasowaną minę i całkiem poważnie oznajmia: – Wybacz, że mój przyjaciel obszedł się z tobą tak okrutnie i niesprawiedliwie zarazem w finałowym pojedynku. Zaprawdę, gdyby wiedział, co knuje ten niegodziwiec, nigdy nie dopuściłbym do walki, na arenie, gdzie mogłabyś, pani, stracić swe życie...

– „Przyjaciel”? – gestykuluję i robię kwaśną minę. W odpowiedzi na moje ruchy dłońmi bojar spogląda zagadkowo na jednego ze swoich ludzi, a ten szepce mu coś do ucha. I zaraz Alexy wybuch dobrym humorem, oświadczając:

– Ah! Jesteś, pani, niemową! Zaiste wielka to rzecz, iż kogoś dotkniętego przekleństwem przewrotni Bogowie obdarzają tak wielkim talentem do walki! – Zaraz kurtuazyjnie i prześmiewczo zarazem, wskazując na pobliski stolik ze srebrnymi kielichami, dodaje: – Może raczysz się, pani, napić wina, albo też... krwi wilka, hm...? – Uśmiecha się znacząco, a ja stawiam kolejne pytanie:

– „Krwil wilka”?

– Otóż to! – Bojar przyklaskuje w dłonie. – Tak, jestem ci winien wyjaśnienia, pani... – Wiedz zatem, iż w swoich podróżach po kontynencie Pendorum miałem swego czasu szczęście odwiedzić cesarstwo Terraticos i znalazłem się wówczas na trybunach areny, gdzie odbywał się krwawy turniej ku chwale Boga Gragezona. I na tamten chwalebny czas, jak i miejsce podziwiałem na igrzyskach pewną niepozorną, rudą dziewczynę, która wygrała ów turniej, pokonując na nim rozliczne rozjuszone bestie oraz pewną postawną brunetkę! – wybucha gromko. – Na którą to brunetkę, Okale... sporo postawiłem... – kończy dla odmiany markotnie. Zaraz raptownie zmienia nastrój na pogodny, kontynuując: – Od tamtej pory wiele podróżowałem po dalekich krainach władztw Pendorum aż znowuż zapragnąłem obejrzeć w krwawej akcji znaną mi piegowatą dziewczynę. Tą drogą dostałem się na trybuny stolicy cesarstwa Terraticos, aby podziwiać zmagania par w krwawym święcie Avenedora. Nie inaczej, tylko postawiłem mnóstwo pieniędzy tym razem na zwycięstwo podziwianej

przeze mnie pieguski, dziewczyny, która teraz już jako bardziej dojrzała osoba, stoi obecnie przede mną. – Puszczą mi oko. – Ona zaś... finałową walkę na cesarskiej arenie przegrała, z kolei jej partner, niejaki Aves, został brutalnie zgładzony... – Ponownie następuje spadek emocji w tonacji głosu Alexego, lecz tradycyjnie tylko po to, aby po chwili mówić ze zwykłą sobie pompą: – Tak, znowuż stałaś się, pani, sprawczynią tego, że przegrałem pieniądze! Prawdziwy majątek! Ale w jakiś sposób postanowiłem wtedy powetować sobie tanto niepowodzenie i nająłem twojego pogromcę, zakonnika, by szkolił moich leniwych rycerzy. I w ten właśnie sposób trafił on do mego miasta oraz na organizowany przeze mnie turniej. Ty natomiast, pani, niespodziewanie także zaszczyliłaś mnie swoją wizytą i... – markotnieje... – trzeci już raz ograbiłaś z majątności... – Pokazuje ręką na stolik, gdzie obok pucharów znajduje się pękata sakiewka. I już za moment jeden ze sług wręcza mi owo zawiniątko, a bojar, machając niedbale ręką, mówi dalej: – Ja jednak na szczęście nie dbam przesadnie o kosztowności, ponieważ bynajmniej i tak nie cierpię biedy. Więc zasłużenie wypłacam należną nagrodę. I z racji twego zwycięstwa, zapytuje cię: czy ja, bojar Alexy, sprawujący z książęcego nadania władzę nad miastem Orizzo, mogę coś jeszcze dla ciebie uczynić, waleczna pani...?

– „Wesprzeć mnie w walce przeciw barbarzyńcom, którzy uprowadzili dziesiątki kobiet z północnych połaci księstwa. Pragnę odbić te niewiasty” – gestykułuję.

Zaciekawiony moimi ruchami dłońmi bojar nastawia ucho do doradcy obeznanego z mową gestów i zaraz rzędzie mu mina. Następnie smętnie oświadcza:

– Chyba zatem czas audiencji dobiega już końca... Zaś we wspomnianym, samobójczym... to jest śmiałym przedsięwzięciu, pozostaje mi życzyć powodzenia...

– „Mam swoich ludzi, a wsparcia udzieli mi Zakon Łuku i Strzał Srebrzystej Łani”.

Alexy raz jeszcze z uwagą wysłuchuje tłumaczenia doradcy i w zamyśleniu zapytuje:

– Ilu będziesz mieć ze sobą ludzi, pani, a ilu wrogów się spodziewacie...?

– „Będzie nas doborowych trzydziestu wojowników, nie licząc zwerbowanego po drodze chłopstwa. Przeciwników spodziewamy się kilku setek”.

– Kilku setek... – powtarza w zadumie bojar. Konsultuje się pewien czas z doradcami, aż z powagą przedstawia mi propozycję:

– Ze względu na swój majestat powinienem dbać o reputację, a takie zwycięstwo nad barbarzyńcami najeżdżającymi Razzinal zapewne odbiłoby się szerokim echem w całym księstwie. Dlatego, skoro miałbym mieć po swojej stronie także wspomniany zakon, zgadzam się wziąć udział w tej ryzykownej wyprawie. Jednakże zaznaczam, że uczynię to pod warunkiem, iż zostanę jedynym dowodzącym i wszystkie zaszczyty za zwycięstwo spadną wyłącznie na mnie...

– „Nie zgadzam się”.

– Ale...?! – Alexy wybałusza ze zdziwienia oczy, a ja tłumaczę:

– „Odpowiadam za moich ludzi i nie wyślę ich na śmierć, jeżeli otrzymam nieprzemyślane rozkazy. Podobnie nie czuję się zobowiązana przemawiać w imieniu zastępczyni wielkiej mistrzyni, Hamri, która będzie dowodzić zakonem. Z kolei, co do sławy, to gardzę nią, wystarczą mi sprawiedliwe łupy i uwolnienie wspomnianych kobiet”.

– Więc jak to rozegramy...? – zapytuje w zamyśleniu Alexy.

– „Proponuję walczyć tak, jak w dawnych czasach”.

– To znaczy...?

– „W swoich traktatach Etos opisywał, że podczas dużych bitew każdy dowódca osobiście kierował swoimi ludźmi, wydając im polecenia”.

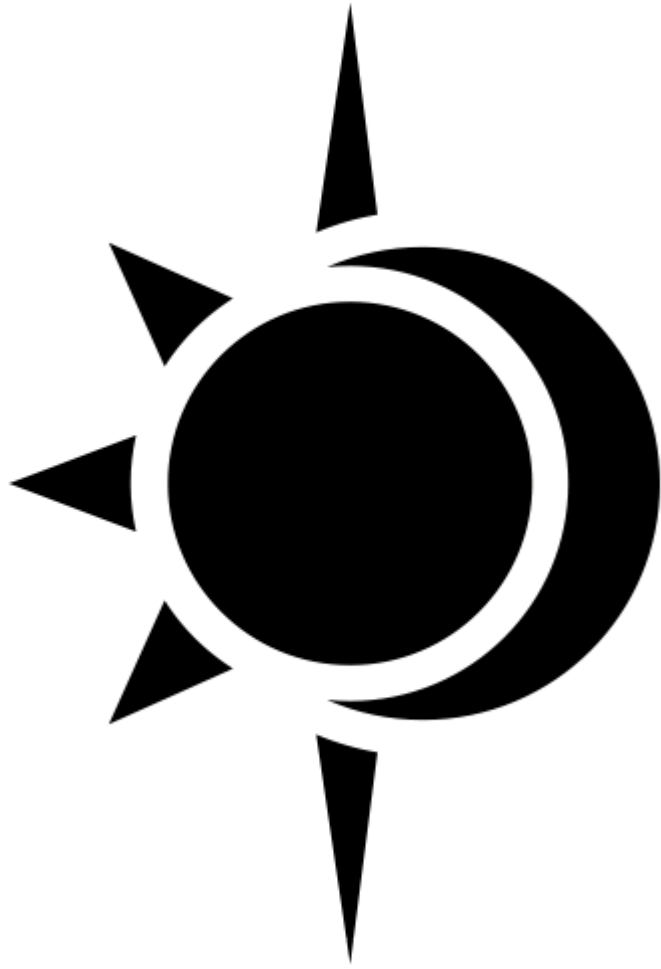
– Hm... Ale wygrana zostanie przypisana przede wszystkim temu wodzowi, który przyprowdzi na plac boju najwięcej żołnierzy, nieprawdaż...?

– „Nie przeczę temu”.

– Dobrze zatem... – mruczy niczym stary kocur bojar Alexy. Po dłuższej chwili wzdycha głęboko i już odprężony, spoglądając na swoje złoczone naszywki na mankietach, oświadcza:

– Niech więc tak będzie. Wspólnie wyruszymy na bitwę, a potem będziemy walczyć ramię w ramię, każdy dowodząc bezpośrednio własnym oddziałem. Jednakże to ja, bojar Alexy, władca miasta Orizzo otrzymam jedyną chwałę za przyszłe zwycięstwo. Co zaś się tyczy łupów, one z kolei nie leżą w kręgu moich zainteresowań. Trochę futer, naszyjników z kości czy nędznej broni, swobodnie mogę ci, pani, ofiarować... – Obdarza mnie swobodnym uśmiechem i władczo dodaje: – Wyruszam skoro świt i to już jutro!

Kłaniam się lekko i jak najbardziej usatysfakcjonowana tym, co udaje mi się zwojować w tej komnacie, opuszczam z pękata sakiewką monet mego obecnego sojusznika z księstwa Razzinal.



III. SIŁĄ NATURA. NATURĄ SIŁA

Bojar Alexy opuszcza miasto Orizzo na czele trzystu swoich żołnierzy. W ich skład wchodzi pięćdziesięciu doborowych łuczników, drugie tyle wybornej, ciężkiej konnicy oraz dwie setki przeciętnej piechoty – mężczyźni uzbrojonych w miecze i tarcze, jak również długie piki. Dowódcy tego wojska towarzyszy Hamri z zakonnym oddziałem. Natomiast ja sama, razem z moimi ludźmi, udajemy się przodem, aby zwerbować po drodze chętnych do pomocy wieśniaków. Choć tak naprawdę, zgodnie z moimi własnymi planami, wcale nie mają oni walczyć. Widziałam już bowiem wątpliwej jakości chłopską siłę bojową w bitwie pod stolicą cesarstwa Terraticos. W związku z tym zwerbowanego motłochu zamierzam użyć do zgoła odmiennych celów.

Po siedmiu dniach spotykamy się wszyscy na północy nad zamarzną rzeką w niewielkiej odległości od Liliowego Jeziora, gdzie zgodnie z oczekiwaniami zbiera się znacząca liczba barbarzyńców. Zwiadowcy donoszą nawet o ośmiu setkach. Nasz wróg ma więc blisko dwukrotną przewagę liczebną. W takim układzie my musimy się postarać, aby po naszej stronie były właściwa taktyka oraz strategia, które wyrównają szanse lub przechylą je na naszą korzyść.

Dlatego pełna pomysłów na temat wybiegów wojennych wkraczam do namiotu Alexego z moją tłumaczką, Adorą i staję koło bojara, Hamri oraz stołu z mapą najbliższej okolicy. Teren na mapie uwidacznia miejsce, gdzie ma się odbyć bitwa. A, jako że jesteśmy już w komplecie, pierwszy zabiera głos Alexy:

– Zdecydowanie optuję za wydaniem walnej bitwy jutro w samo południe. W tym celu jeszcze dziś wyślemy do naszych wrogów stosowne wezwanie w formie honorowego zaproszenia... Zaś samą potyczkę stoczymy... – Arystokrata wodzi wzrokiem po mapie, po czym przyspila ją palcem, oznajmiając: – Tak, bitwę stoczymy właśnie w tym miejscu!

– Na odsłoniętej równinie? – Hamri nachyla się nad mapą i odczytuje geografię wskazanego terenu. – Nie mam nic przeciwko. W tym miejscu nasza konnica odpowiednio rozwinie swoje szyki – stwierdza.

– Zatem postanowione! – wypala radośnie Alexy i zaraz nieco spuszcza z tonu, kiedy kręcę przecząco głową: – W czymś problem? – zapytuje mnie z nutą drwiny. W odpowiedzi czynię odpowiednie gesty, a mój przekaz każdorazowo tłumaczy Adora:

– „Według zwiadowców barbarzyńcy także dysponują liczną konnicą. Posiadają bardzo zróżnicowane wojska”.

– I co z tego? – Wzrusza ramionami Alexy.

– „Wydanie walnej bitwy oznacza, że czynny udział w walce wezmą wszystkie formacje wroga i to jednocześnie. Nie przeczę, że i tak możemy wygrać, ale straty będą olbrzymie. Wykrwawimy się, co może położyć się cieniem na jakości naszego zwycięstwa i przyszłą sławę głównodowodzącego”.

– Matka Cięń ma rację – podchwytuje tę uwagę Hamri i przenosi pytające spojrzenie na arystokratę. Ten bierze głębszy oddech, aż chwilę dusi się mroźnym powietrzem, po czym przemawia do mnie:

– Co zatem proponujesz? Bo rozumiem, że masz jakąś alternatywę w zanadru...?

Od tego momentu raczę moich adwersarzy dłuższą wypowiedzią. Wskazuję na mapie obóz barbarzyńców, to pobliską rzekę, wreszcie niezbyt odległe góry, a zaraz także rozległą równinę i sugeruję zadania poszczególnych oddziałów wojskowych. Hamri oraz Alexy w większości z uznaniem przytakują moim wywodom i generalnie przystają na mój plan, chociaż ze względu na sporadyczny sprzeciw bojara, nie w pełni. Jednak dochodzimy do względnego konsensusu i żegnamy się w zgodzie, gotowi stoczyć jutro wspólną walkę i stojąc koło siebie ramię w ramię.

Lecz to bynajmniej mi nie wystarcza i wraz z nastaniem nocy odwiedzam jeszcze namiot dowodzącej oddziałem zakonu Herremid. Długo przekonują ją do swoich racji. Odchodzę zaś, nie będąc do końca przekonaną, czy Hamri przychylił się do wszystkich punktów mego planu wbrew woli Alexego. Cóż, okaże się to już niebawem.

*

Jest dość pochmurny dzień i pada lekki śnieg z deszczem. To dobrze, ponieważ dzięki temu widoczność jest ograniczona, co sprzyja moim zamierzeniom. Na początek realizuję pierwsze kroki, na które przystaje Alexy. Z Kalillą oraz Hamri i jej podkomendnymi, ruszamy konno prosto na obóz barbarzyńców założony w jednej z wiosek.

Kiedy tylko znajdujemy się w jego zasięgu, posyłamy tam dziesiątki zapalonych strzał. Czynimy to z takiej odległości, iż strzelamy na oślep. Cel jest prosty – rozjuszyc i wyciągnąć wroga na otwartą przestrzeń. I udaje nam się to bez kłopotu.

Wkrótce w naszym kierunku gnają już całe tabuny wściekłych barbarzyńców na czele lekkiej i ciężkiej konnicy. Więc czas na taktyczny odwrót. Jednak poza tym, że obecnie zmierzamy do rdzenia naszych wojsk, nieustannie razimy wrogów strzałami, posyłając je za swoje plecy.

Aż docieramy do zamarznętej rzeki u podnóża jednego ze wzgórz. Przekraczamy po lodzie szerokie koryto, ale czynimy to w wąskiej kolumnie po wyznaczonym uprzednio torze. Natomiast barbarzyńcy za nami wlewają się tu zdezorganizowaną grupą i robią to na swą rychłą zgubę. Ponieważ zwarta struktura lodu na rzece została zawczasu uszkodzona i teraz, pod naporem dziesiątek koni oraz opancerzonych wojowników, lud pęka, pochłaniając pod siebie w rwące wody uzbrojonych przybyszy.

W ten sposób impet natarcia wroga zostaje w pełni powstrzymany i ponosi on pierwsze, znaczące straty. Lecz to dopiero początek jego niedoli. Z Kalillą zatrzymuję się na drugim brzegu i zaraz dołącza do nas reszta moich ludzi. Z kolei zakonniczki puszczają się daleko na prawą flankę. Natomiast z lewej strony, zza pobliskiego wzgórza, wychodzi piechota i konnica Alexego. Zaś jego ubrani na biało łucznicy właśnie powstają wzdłuż linii brzegu i szyją do barbarzyńców w rzece z łuków.

W tym momencie bitwa zaczyna już przybierać rangę pogromu. A kiedy pierwsi ocaleli barbarzyńcy przedzierają się w końcu przez po części uwolnioną z lodu rzekę, do akcji wkracza piechota z księstwa Razzinal. W zwartym szyku, niczym najeżony ostrzami mur, siecze i spycha ona przeciwników z powrotem do lodowatej wody.

Jednakże zgodnie z moimi przypuszczeniami, cały czas mamy do czynienia jedynie z szarżą wysuniętych linii wroga. Przebywam bowiem na lekkim wzniesieniu i dostrzegam, że na przeciwny brzeg ciągle nadciągają nowe jednostki barbarzyńców, piesze i konne, które szukają sobie solidnego miejsca do przeprawy. I znajdują je nieco dalej na zamrzniętej tafli wody u podstawy stojącej tam dumnie góry.

Z tą chwilą zdejmuję sobie chustę z włosów i macham nią zamasyście w powietrzu. To znak, po którym wkraczają do akcji zwerbowani przeze mnie chłopcy. Spychają oni ze wzgórza przygotowane zawczasu wielkie kule śnieżne najeżone metalowymi elementami i zaostrzonymi palami. Lecą one z impetem, miażdżąc na swojej drodze przepływających się barbarzyńców. Jak to powiedział Etos: „niech twoją naturą będzie siła, niech twoją siłą będzie natura”. To mądre słowa, z których właśnie skwapliwie korzystam.

Tak oto kolejna fala przeciwników zostaje powstrzymana. Jeżeli nie zawrócą, to nadal będą dziesiątkowani przez strzały i napierającą na brzeg rzeki piechotę z Razzinal. Z kolei w razie ucieczki, w pościg ruszy ciężka konnica Alexego.

Taki jest dalszy, ustalony wspólnie plan. Ale obecnie nadchodzi moment na realizację tej części moich zamierzeń, na które nie przystaje przybyły ze mną bojar. Albowiem on jest tu przede wszystkim dla zwycięstwa i chwały. Ja natomiast w celu ratowania porwanych, wiejskich kobiet i tu liczę na niezbędną pomoc Hamri.

Dlatego w pewnej chwili, wbrew ustaleniom z Alexym, daję odpowiedni znak Exonowi, Kalilli, Viri oraz Ravelowi i porywam się z nimi galopem daleko na prawą flankę, gdzie wcześniej zniknęły zakonnice. Następnie skręcamy w kierunku obozowiska barbarzyńców i ponownie przekraczamy rzekę, po czym okrążając pole bitwy, gnamy do barbarzyńskiego obozu.

Tuż przed nim kamień spada mi z serca – zgodnie z moją prośbą Hamri tu jest i oczekuje na mnie. Zatem łączymy nasze siły w jedną grupę, wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia i w liczbie niemal trzydziestu ludzi szturmujemy prawie opustoszałe leże barbarzyńców. To zrujnowana, pokryta śniegiem wioska, w której nie oszczędzimy napastników, a uwolnimy uwięzionych.

Pomiędzy drewnianymi zabudowaniami, jadąc konno, strzelamy z łuków w każdą uzbrojoną postać odzianą w futro. Tych robi się coraz więcej, a wówczas dobywamy miecze oraz włócznie i prowadzimy bezpardonową walkę wręcz.

Ja sama zeskakuję z mego rumaka wprost na jednego z wrogów. Turlam się z przeciwnikiem po śniegu, po czym ostrzem rozcinam mu gardło. Skaczę na nogi, paruję cios mieczem, by drugim wyprowadzić celne pchnięcie w klatkę piersiową. Z obrotu poprawiam ostrzem za plecy w stojącego tam barbarzyńcę. Rozcinam mu głęboko oko oraz nos i kopię go z wyskoku tak, że pada na swych kamratów, a ja rzucam się nich, jak w amoku. Moje dwa krótkie miecze w walce na bliski dystans i w tłoku sprawdzają się idealnie, więc trup wokół mnie ściele się gęsto.

Co pewien czas migają mi sylwetki innych walczących, w tym Hamri, która ratuje przed uderzeniem młota Virię. Potem sama zostaje przez nią osłonięta tarczą. Podobnie Ravel współpracuje z grupą zakonnicek, zaganiając przeciwników w róg pomiędzy budynkami, skąd nie ma ucieczki, kiedy spada na nich sieć mężczyzny z chanatu.

W końcu na placu boju nie zostaje żaden z żywych przeciwników, a jedynie kilku dopada rumaków i ucieka w popłochu. Nie ma jednak czasu na dochodzenie do siebie i szacowanie strat. Czym prędzej przeszukujemy kolejne domostwa, by odnaleźć więźniarki. Jest to tym bardziej pilne, że tuż przed ucieczką barbarzyńcy podpalają dwie chaty.

I zaraz następuje pełna ulgi scena, gdy drzwi jednej ze stodół zostają otwarte, po czym z przestraczem wybiegają ku nam młode kobiety.

Na ten widok odczuwam pewną dumę. Lecz zamiast przyjmować wylewne wyrazy wdzięczności i podziwu, szukam sobie ustronnego miejsca. Znajduję je na jednym z wozów bez koni na skarju wioski i tutaj siadam w spokoju, aby ostatecznie dotarło do mnie, że zadane zostało wykonane i mogę odpocząć.

Jednakże nie dane jest mi zregenerować mych sił, ponieważ naraz pojawia się koło mnie Ravel. Oświadcza on pospiesznie, że od strony głównej bitwy w naszym kierunku gna cały tabun barbarzyńców. Na takie wieści biegnę do centrum wioski i spotykam tu Hamri, także już zaznajomioną z wielce niepokojącymi rewelacjami.

Wkrótce ustawiamy się ławą przed wioską w ilości dwudziestu konnych, którzy przeżyli i nie odnieśli poważnych ran. I w tym momencie nasze oblicza szczęśliwie jaśnieją. Okazuje się bowiem, że ową szturmującą nas armią są niedobitki barbarzyńców, którzy pierzchają w popłochu przed ścigającą ich ciężką jazdą z Razzinal.

Więc sami chwytamy za oręż i gnamy naprzeciw zdezorientowanego wroga, biorąc go w mordercze kleszcze i siekąc bez umiaru. Pogrom jest całkowity, a zwycięska bitwa ostatecznie zakończona.

*

– Zdrowie Matki Cień! – krzyczy donośnie Alexy w jednej z okolicznych wiosek, gdzie ucztujemy w karczmie. Oprócz bojara przy stole zasiadają możni panowie, jak również Hamri z kilkoma podwładnymi oraz moja drużyna. Pijemy wspólnie wino i raczymy się pieczoną baraniną z rożną, bowiem w tej części księstwa Razzinal nastaje prawdziwe święto.

– Matka Cień! – wtóruje Alexemu Hamri. Jakoś nikomu z moich nowych znajomych nie przechodzi przez gardło nazywanie mnie Anreą. Bynajmniej nie przeszkadza mi ten brak tytułowości dla mej osoby, a nawet nazywana inaczej czuję większą swobodę bez dodatkowego brzemienia zamierzchłej przeszłości na każdym kroku.

– Niech żyje wielki bojar Alex! Niech żyje! – krzyczy naraz arystokrata, wskazując na samego siebie. Jest już lekko wstawiony winem i tym razem nieprzerwanie w nad wyraz dobrym nastroju. Wszak nie ma co się temu specjalnie dziwić. Bitwa zostaje wygrana, starty wśród ludzi są znikome, za to sława z rozgromienia potężniejszego wroga, zaiste dla bojara wielka.

– Niech żyje! – Hamri wznosi wysoko puchar i uderza w kielich Viri, po czym obie kobiety piją wino, patrząc sobie głęboko w oczy.

Kiedy przywódczyni zakonniczek wychyla naczynie do dna, czynię gesty do Adory i ta przekazuje moje pytanie do zebranych:

– Anrea, Matka Cień, zapytuje, ile warte są łupy z bitwy?

– Nie za wiele... – odpowiada rezolutnie Alexy. – I jak zapowiadałem, sam jestem nawet gotów się zrzec swojej części. Ponieważ broń barbarzyńców jest prawie nic nie warta, a sami nie posiadają praktycznie

kosztowności. Ich rumaki są za chude, a futra na nadchodzącą już wiosnę nie będą zbyt cenne.

– „Gdzie zatem mogłabym się odpowiednio wzbogacić i jak”? – pytam, ponieważ dla zrealizowania moich przyszłych celów nie obędzie się bez pomnażania majątku.

– Cóż za bezpośredniość, ha! – parska coraz bardziej pijany bojar i snuje swoje rozważania: – Pomyślmy... Ze swymi bitewnymi umiejętnościami zapewne najlepiej byś zarobiła, pani, zajmując się u kogoś. Lecz nie samodzielnie, a na czele zbrojnego oddziału. Z kolei za taki najlepiej zapłaci nasz książę. On nie będzie się liczył z wielkością kompanii, oby tylko nie była zbyt skromna i zatrudni cię, pani, nie bacząc na koszty. To zaś dogą do naprawdę dobrego zarobku, ha!

– „Czy książę najmie mnie na czele moich sześciu ludzi”?

Na te słowa Alexy spogląda na mnie zdziwiony, jakby nagle wytrzeźwiał. Jednak zaraz znowu wpada w pijacki, rubaszny nastrój i wypala:

– Takiej ilości wojaków nasz Jaśnie Pan nawet nie zauważy. Ma bowiem pewną wadę wzroku, ha! – Uderza pucharem w stół, aż z naczynia wylewa się obficie czerwone wino.

– „Zatem jakiej wielkości oddział powinnam mu zademonstrować”?

– Hm... tak, aby się nie skompromitować...? Przynajmniej trzydziestu żołnierzy i odpowiednie referencje od mojej osoby – stwierdza dobrodusznie Alexy.

– „Skąd wezmę pieniądze na trzydziestu najemników”? – nie ustępuję.

W tym momencie nastaje cisza, aż odzywa się milcząco do tej pory na uczcie Gabu:

– Allearzy. Wystarczy zdobyć kilka sztuk ich broni i będziemy bogaci...

– To nie jest dobry pomysł – włącza się do dyskusji oparta o ramię Viri Hamri i nonszalancko dodaje: – Może gdyby wam się poszczęściło, podstępem zdobylibyście broń Allearów. Ale nie łudźcie się, że z takiej wyprawy wszyscy powrócą żywi. Dla wielu to będzie podróż w jedną stronę, a szkoda by było... – Czule obejmuje Virię, a ta zagryza jej małżowinę uszną. Obserwuję od dłuższego czasu niedwuznaczne

zachowanie tej pary, aż prześlizgnę wzrok na Ravela i zaskoczona dostrzegam, że jest w pełni pochłonięty konwersacją z zakonikiem. A skoro tak, to powracam do zapoczątkowanego tematu i twardo oświadczam:

– „Nie chcę łupów z martwych barbarzyńców, które jak słyszę są prawie nic niewarte. Za to żądam, abyście udzielili mi zbrojnego wsparcia na wyprawę na Allearów”.

– Żądasz...? – Alexy naraz przestaje żłopać wino i wlepia we mnie srogie spojrzenie. Podobnie przykuwam uwagę Hamri z obecnie cierpkim uśmiechem na twarzy. – Żądasz... – powtarza z kolei bojar. Jego słowa, jakby zawisają złowieszczo w przestrzeni i zaraz gromko wypala: – Więc twoje żądanie, pani, zostanie spełnione, ha! – zaśmiewa się. – Akurat zwiadowcy przynieśli jakiś czas temu do Orizzo wieści, że na południowo wschodnich rubieżach księstwa pałęta się mała grupa Allearów. Zatem niech spadnie na nich twój złowrogi cień, pani, Matko Cień, ha, ha! Słowem wyrznij ich w pień! – drze się wręcz szaleńczo Alexy i już melancholijnie dorzuca: – Wystawię na tę misję dwudziestu... to jest dziesięciu ludzi i nie dbam o to, czy wróca. – Macha niedbale rękę.

– Trzy zakonniczki – stwierdza natomiast Hamri i obdarza mnie łagodnym spojrzeniem, zaznaczając. – Ale one mają wrócić, rozumiesz...?

– „Zrobię, co w mojej mocy” – gestykuluję, kończąc targi przy biesiadnym stole, zadowolona, że stawiam na swoim.

Późno w nocy zajmuję samotnie moją kwaterę w karczmie. Samotność – nie, bynajmniej nie przeszkadza mi ona obecnie, a wręcz przeciwnie, dzięki niej mogę się lepiej skupić na konkretnych celach. To na swój sposób pomaga i kładąc się spać, myślę jedynie o nadchodzącej misji i moich kompanach, nie muszę się zaś rozpraszać kochankiem. Jednak zanim odchodzę na krótki czas w niezwykłą krainę snów, tutaj, na jawie, mój duch odwiedza dyskretnie moich przyjaciół.

Uczta dobiegła niedawno końca i niebawem będzie już świtać. W wydzielonej izbie zauważam śpiących Gabu oraz Adorę. Uśmiecham się na ten widok. Mają na wyposażeniu tylko jedno łóżko i oboje głośno chrapią. Lecz mężczyzna, zapewne we śnie, wypchnął z łoża swoją partnerkę, ponieważ tylko jego postawne ciało znajduje się na łożu, podczas gdy dziewczyna z Saladior zajmuje podłogę.

Następnie w kolejnym pomieszczeniu witam Kalilę oraz Exona. Oni nie śpią, tylko spoczywają razem i bawią się nawzajem swymi włosami, kręcąc loki. O czymś spokojnie rozmawiają. Ale nie zamierzam ich podsłuchiwać, tylko podążam dalej.

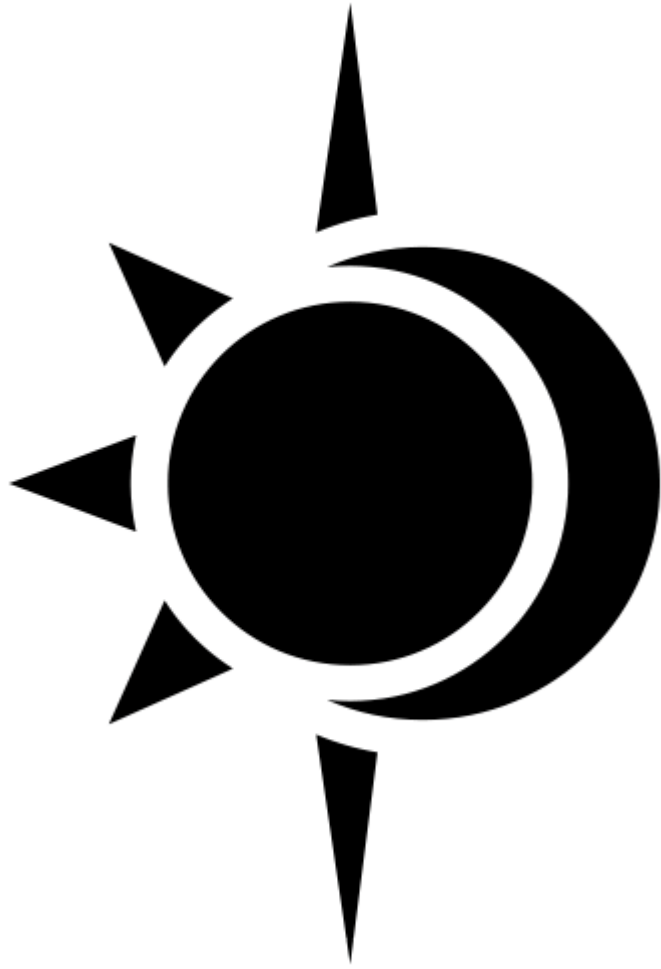
I zaraz jestem u Viri, lecz zaskoczona nie zauważam u jej boku Ravela, a zakonniczkę Hamri. Kobiety są nagie i namiętnie kochają się ze sobą, a do tego czynią to w specyficzny sposób. Dowódczyni zakonnicek całuje miejsce po małym palcu na dłoni Viri, a potem zsuwa jej czarną opaskę z oka i wkłada język głęboko w ciemny oczodół. Zaś rękoma pieści pierś i krocze. Wojowniczką z Favera piszczyci dziko i sama odwzajemnia dość mocne pieszczoty.

Wobec tego, co tu zastałam, nie mogę się oprzeć temu, by nie odszukać Ravela. I po dłuższym czasie mój duch odnajduje go w miłosnych objęciach zakonnika, mężczyzny.

Zastanawiam się przez chwilę czy Viria i jej partner dobrali sobie nowych kochanków za porozumieniem ze sobą. A także czy nie wynikną z tego kłopoty oraz, że nie znałam ich od tej strony – słabości do tej samej płci.

Na zakończenie odwiedzam jeszcze, nie wiedzieć czemu, Alexego. On również nie spoczywa sam w łóżku, a z namiętnie ściskaną butelką wina, którą coraz bardziej opróżnia, przystawiając sobie do ust i przy okazji całując. Okazuje się również, że wspaniałe, długie włosy bojara, które demonstrował na głowie, nie należą do niego. Obecnie czaszkę Alexego zdobi gładka łysina, a jego włosy spoczywają dumnie na stojaku jako peruka.

Po tych oględzinach nie włączę się dalej, tylko stwierdzam, że już najwyższy czas na sen, w którym odwiedzę inne osoby, te z mojej przeszłości. Być może spotkam moich zmarłych rodziców, a może nawet Avesa, a wtedy już nie będę samotna przynajmniej we śnie...



IV. ZAKŁĘTY KRAJ

W sile dwudziestu ludzi wyruszamy na południowo wschodnie rubieże księstwa Razzinal, a po kilku dniach skręcamy bardziej na wschód. Śniegi pod kopytami naszych wierzchowców szybko ustępują połaciom świeżej, zielonej trawy, która na wiosnę bujnie wzrasta na wielkiej, równinnej przestrzeni rozległych stepów. Za nimi leżą żyzne ziemie królestwa Saladior oraz zalesione wzgórza zajmowane przez Allearów. My jednak nie chcemy zapuszczać się aż tak daleko i naszych przyszłych przeciwników wyglądamy już na terenach, które obecnie przemierzamy.

Choć w tych rejonach możemy ponoć napotkać również innych wrogów, a mianowicie Jeźdźców Majanu. Słyszałam bowiem, że znają oni sekretną drogę z Otchłani właśnie na te ziemie i często przybywają tu wypasać swe nieprzeliczone stada koni oraz grabić przejeżdżające tędy karawany. Nieraz zapuszczają się nawet na ziemie władztw Saladior czy Razzinal.

Jednakże od naszego wyruszenia na rozległe stepy nie napotykam tu żywej, ludzkiej duszy. Jedyne dziką rogaciznę w postaci jeleni, a także świstaki, które to zwierzęta służą nam za cel do polowań i całkiem pożywną strawę.

Po takim kolejnym udanym polowaniu, gdzie naszym łupem padają trzy sarny, wieczorem zbieramy się do rozkładania obozowiska. I już w krótkie płoną trzy osobne ogniska, gdzie oddzielnie zbierają się kobiety należące do Zakonu Łuku i Strzał Srebrzystej Łani, żołnierze bojara Alexego oraz moja ścisła drużyna.

Po obfitym posiłku wraz z zachodem słońca udajemy się na spoczynek. Zaś skoro świt spotykamy się w na wspólne śniadanie stanowiące resztki ze wczorajszego dnia, którymi musimy nasycić się do tego stopnia, aby wystarczyły nam do ponownego, skutecznego polowania.

– To prawda, zaklinam. – Gabu kontynuuje swoją dłuższą wypowiedź, obgryzając do cna sarni udziec. – Podczas przeprawy przez rzekę nieopodal Etos, cesarskiego konia porwał bystry nurt i władca Terraticos utonął. Takie wieści zasłyszałem jeszcze w Orizzo.

– Więc kto jest teraz cesarzem? – pyta, jakby od niechcienia Exon, częstując Kalillę porcją oddzielonego od kości mięsa.

– Nie ma cesarza – stwierdza odkrywczo Gabu.

– Nie ma...? – Mężczyzna z Salador spogląda na niego zagadkowo.

– Ano tak... Cesarstwem Terraticos rządzi obecnie niespodziewanie kobieta, cesarzowa.

– Żona cesarza – zgaduje Exon.

– Pudło... – zauważa tłuścioch. – I nie uwierzycie, kto taki zasiadł na cesarskim tronie... – kończy wielce tajemniczo.

– Skoro i tak nie uwierzymy, to nie mów – odpowiada złośliwie Ravel, który już zakończył posiłek i puszcza oko do Gabu. Ten robi kwaśną minę, ponieważ nie takiego rozwoju dyskusji oczekuje. Zbiera się w sobie, odkłada sarni udziec i z niemal z nabożną czcią oświadcza:

– Na nową cesarzową namaszczona została sama Tira... Tak, dokładnie ona, żona zmarłego Artusa, pana naszej szkoły gladiatorów...

– Prawda to...? – Exon nie kryje zdumienia.

– Najprawdziwsza z prawd... – przyznaje dumnie Gabu, szczęśliwy, że jego rewelacje wreszcie wzbudzają pożądane zainteresowanie. I zaraz ochoczo dodaje: – Ponadto zasłyszałem od żołnierzy z Razzinal, że lada dzień wybuchnie na kontynencie Pendorum nowa wojna...

– Kto tym razem skrzyżuje ze sobą oręż? – Exon demonstracyjnie krzyżuje sarnie kości.

– Władca Razzinal wypowie wojnę konfederacji Favere, to już praktycznie przesądzone... – Gabu chwyta kość udową i niczym maczugą rytmicznie uderza nią o przygaszone węgle w ognisku.

– Co ja słyszę... – Do naszego biesiadnego miejsca podchodzi na czworakach Viria, która dopiero teraz budzi się po nocy. – Moje kochane

klany znowu dadzą łupnia zimnym ludkom z Razzinal? Ha! I... dlaczego już wstaliście, skoro jest jeszcze noc...?

– Jest już jasny dzień – stwierdza Ravel, z trudem tłumiąc wybuch śmiechu.

– Że jak? To czemu nic nie widzę? – dopytuje skołowana kobieta.

– Twoja opaska na oku... – wyraża troskę Gabu.

– Co z nią? No co z moją opaską?

– Masz ją na niewłaściwym oczodole... – podpowiada ostrożnie Adora.

– W mordę! – Kobieta z Favera ze złością odsłania sobie jedyne oko, przesłonięte do tej pory czarnym materiałem. Zasłania ciemny oczodół i odkrywczym oświadcza: – I oto nastaje światłość... – A zaraz zapytuje: – Macie coś od przepłukania gardła? Najlepiej coś zabarwionego różem, to jest napój Harremid... – Nikt dłuższy czas nie zabiera głosu, więc ponownie czyni to pretensjonalnie Viria, tym razem rozglądając się po kompanach z wyrzutem: – No nie mówcie. Wszyscy używacie już sobie na całego, nie bacząc na konsekwencje? Już nie jesteście wojownikami, tylko bandą kochanków i dzieciorobów?! Ha! Bo mój kochany Ravel też zeszłej nocy poszedł na całość. Mnie zaś nie spieszno do dźwigania ze sobą wielkiego brzuszyska. W mojej rodzinie zwykle trafiają się bliźniaki...

– „Nikt w obozie nie ma napoju Harremid” – gestykuluje spokojnie, a Adora tłumaczy moje ruchy dłońmi.

– Ech... – oznajmia na to zrezygnowana Viria. Spogląda jakiś czas na siedzące nieopodal zakonniczki, a potem Ravela i zwraca się do niego z dezaprobatą: – Czasem wręcz żałuję, że nie jesteś kobietą... – Przenosi wzrok na cały czas milczącą Kalillę i drwiąco do niej rzuca: – A może następnej nocy to ty, złotko z Razzinal, dotrzymasz mi towarzystwa, hm...? Spokojnie, zapłacę za twoje usługi... Natomiast nasz mążny Exon będzie mógł wrócić do Anrei... Oj piękna z nich była para. Widziało się to i owo...

W jednej chwili kobieta z Razzinal chwytając włócznię i ostrą końcówkę grotu niemal zagłębia w jedynym oku Viri. Wtedy sama reaguję. Zdecydowanie chwytam za drzewce włóczni i patrząc Kalilli w oczy,

odchylam jej broń od kobiecego lica. Potem otwartą dłonią uderzam partnerkę Ravela w twarz i mrozę ją srogim wzrokiem.

– Już dobrze, spokojnie... – oznajmia na to nerwowo Viria, masując się po jedynym oku, to policzku: – To był taki żart, rozumiecie? Nie, nie rozumiecie... nie znacie się... – Siada koło Ravela, a ten obejmuje ją ramieniem i częstuje kawałkiem mięsa.

Resztę posiłku spożywamy w ciszy, a ja bynajmniej nie żałuję swego zdecydowania. Wolę skarcić, a nawet poniżyć Virię niż dopuścić do tego, że przez swój niewyparzony język pożegna się ze swym drugim okiem.

Wkrótce znowu jesteśmy w drodze i podążamy coraz bardziej na południowy wschód. Mijamy monotonną okolicę nieustannie naznaczoną zieloną trawą i równiną, od czasu do czasu ozdobioną niskimi pagórkami czy zagajnikami liściastych drzew.

Aż w pewnym momencie na dalekim horyzoncie zauważam niezbyt liczną grupę jeźdźców. Zaraz podjeżdża do mnie konno Ravel i wyostrzając wzrok, wyjaśnia:

– Tak, to oddział Majanu, bez wątplenia... Ale wyjątkowo nieliczny i zdaje się on chyba uciekać.

– „Dogonimy ich”? – gestykuuję.

– Nie rozumiem cię ... – Ravel wymownie rozkłada ramiona, a zaraz moje gesty tłumaczy Adora. – Ach... Zapytujesz, czy zdołamy ich dopaść? Nie wiemy, jak długo uciekają i jak bardzo mają zmęczone rumaki. Ale... zawsze możemy spróbować... – Puszczą mi oko. W odpowiedzi podnoszę rękę, po czym kieruje ją prosto na Jeźdźców Majanu i pierwsza wyrywam się galopem do przodu, a zaraz za mną to samo czyni mój oddział. Lecz niebawem zwalniam, wstrzymując gwałtownie posapującego rumaka.

– Słuszna decyzja... – stwierdza, doganiający mnie mężczyzna z chanatu Precis. – Jeźdźcy Majanu są dla nas zbyt szybcy, a nasi konni z Razzinal aż nazbyt powolni. – Pokazuje ręką za plecy, gdzie w sporej odległości galopują jeźdźcy z północnego księstwa. Po chwili dociera do nas Adora i wtedy gestykuuję do Ravela:

– „Mówiłeś, że wojownicy Majanu uciekali”.

– To prawda, tak to wyglądało...

– „Uciekali przed nami, czy wcześniej przed kimś innym”?

– Wiem, do czego zmierzasz... – Uśmiecha się Ravel i rozgląda po okolicy, a następnie, pokazując kierunek południowy, oświadcza: – Jeżeli pojedziemy w tę stronę, ślady kopyt powiedzą nam wszystko. W każdym razie mi niewątpliwie...

– „Zatem ruszajmy tam” – czynię gesty dłońmi i nawracam rumaka.

Po pewnym czasie nasz niezastąpiony zwiadowca, Ravel, komunikuje mi, że w okolicy nie jesteśmy sami oprócz Jeźdźców Majanu. I rzeczywiście już wkrótce na horyzoncie wyrasta naprzeciw nam grupa obcych przybyszy na koniach. Moja kompania ustawia się szeroką ławą, a to samo czyni grupka naprzeciw, która liczebnością zbliżona jest do naszej.

– Jeżeli ruszymy na siebie, to będzie prawdziwa masakra i to po obu stronach... – wypowiada swoje zdanie na temat zaistniałej sytuacji Exon. Kiwam głową, przyznając mu rację i czynię gest dłonią, aby wszyscy pozostali na miejscu, po czym samotnie kieruję się naprzód. Od początku taki właśnie zakładam plan. Mianowicie, aby uniknąć wyniszczającej konfrontacji, a jedynie wymusić sowity okup.

Z zadowoleniem zauważam, że od grupy naprzeciw oddziela się samotny jeździec i zmierza w moją stronę. Pozostaje więc mieć nadzieję, że zna mowę gestów. Jeżeli zaś nie, to przywołam do siebie Adorę.

Myślę tak i już wkrótce zatrzymuję się przed tajemniczym przybyszem. Wówczas lekko rozchyłam usta, nie mogąc ukryć narastającego podziwu. Młody mężczyzna przede mną zasiada na niezwykle smukłym rumaku i bogato zdobionym siodle niczym na tronie. Młodzieniec ten ma szlachetne rysy, pociągłą twarz i jego widok jest po prostu wspaniały. Oczy ma lśniąco błękitem, a długie, jasne włosy poprzeplatane drobnymi warkoczykami. Jego zbroja jest w biało-zielonym kolorze z licznymi zdobieniami. Za broń służy mu łuk, miecz oraz tarcza.

On sam przygląda mi się z dziwną sympatią, uśmiechając się lekko, zupełnie jakby mnie znał. Dłuższy czas patrzy mi prosto w oczy. Na chwilę przenosi wzrok na mój wzór tatuażu na udzie, a wtedy oddech głębiej, trochę ze smutkiem i rezolutnie oznajmia:

– Wreszcie odnaleźliśmy siebie nawzajem. Czekałem na to, na twoje i moje przeznaczenie...

– „Znasz mnie”? – gestykuję.

– O tak, zapewniam... I to dłużej i lepiej niż bym chciał... Tak między nami wyszło...

– „Kim jesteś”?

– Allearem... – Wskazuje na siebie.

– „Kim jesteś dla mnie”?

– Już ci mówiłem... – poszerza uśmiech. – Przeznaczeniem... – Milknie i pokazując ręką na moich kompanów, spokojnie mówi: – Przekaż swoim ludziom, że stoczmy tu między sobą pojedynek. Zaś zwycięzca zabierze pożądane przez ciebie łupy. W ten sposób oszczędzimy wiele niewinnych istnień. Chyba że zdecydujesz się zawrócić i odjedziesz... – Robi pauzę i z przekonaniem kończy: – Nie... ty nie zawrócisz. Nigdy nie zawracasz z obranej drogi i nie patrzysz za siebie...

– „Nie cofnę się” – potwierdzam ruchami dłońmi i jeszcze pytam: – „Skąd wiesz, po co tu przybywam”?

– Wiem wiele rzeczy... – oświadcza. – Więcej niż bym chciał, jak wspominałem... Nawet to, że niemal wszystko, co pragniesz o mnie... o nas, wiedzieć, wyjawione ci zostanie jeszcze przed zachodem słońca. – Spogląda na powoli ciemniejące niebo.

Sama przyglądam mu się jeszcze przez chwilę zaintrygowana, po czym powracam do moich ludzi, aby poinformować ich o rychłym pojedynku. Zgodnie z oczekiwaniem przyjmują to z pewną ulgą. Rozumiem ich. Z jednej strony wierzą w moje bitewne umiejętności, a także radzi są z tego powodu, że w prowadzonej przeze mnie batalii sami nie będą narażać życia.

Więc powracam na miejsce do tajemniczego mężczyzny, Alleara. Zeskakuję z konia i wyciągam przed siebie dwa krótkie ostrza. Uginam lekko kolana, pochylam się i czekam na pierwszy ruch przeciwnika.

Ten, jakby od niechcienia przechadza się naprzeciw mnie z tarczą i mieczem w dłoniach, a jego nieodzownym orężem wydaje się również pewny siebie uśmiech. Aż w końcu balansuje on zręcznie ciałem i rozpoczyna swój pierwszy atak.

Już, zanim do mnie doskakuje, zachowawczo czynię krok do tyłu. I jest to ze wszech miar słuszny kierunek, bo inaczej już pierwsze, gwałtownie

wyprowadzone ku mnie pchnięcie mieczem, przebiłoby moje serce.

Następnie szybko uskakuję w bok i wyciągam przed siebie broń, aby to przeciwnik musiał się dostosowywać do mojej pozycji. Już bowiem wiem, że nie mogę mu dawać swobody.

On napiera na mnie tarczą i czyni to tak długo, aż opieram na niej swoje ostrza. Wówczas Allear gwałtownie zdejmuję osłonę i wykonuje cięcie mieczem na wysokości mej głowy. Cała sztywnieję i z trudem przełykam ślinę, po czym lodowatym spojrzeniem świdruję zatrzymane tuż przy moim gardle ostrze. Czekam na cięcie, które zakończy mój żywot, lecz zamiast tego tajemniczy mężczyzna uśmiecha się do mnie wręcz z uczuciem i zabiera ostrą klingę z szyi.

Odskakuję do tyłu, jak oparzona, zdając sobie sprawę, że powinnam być już martwa i właśnie podarowane mi zostaje życie. Jednakże nie zamierzam odwdzięczać się tym samym. Przypominam sobie, o jaką stawkę toczę walkę i tym razem to ja zawzięcie atakuję!

Raz i drugi aż wreszcie dziesiąty uderzam dziko w miecz Alleara to jego tarczę, ale za nic nie mogę się dostać do niego samego. Więc raptownie zmieniam taktykę i z półobrotu wyprowadzam błyskawiczne kopniaki, aby trafić bądź przynajmniej dezorientować przeciwnika.

Lecz ten najpierw się umiejętnie cofa, a potem gwałtownie na mnie napiera i uderzona tarczą padam na zieloną, soczystą trawę. I zanim zdążę wstać, ponownie czuję ostrze przy gardle, jego zimny czubek. Szybko oddychając, klękam, ciągle gotowa na najgorsze, ale i obecnie Allear, uśmiechając się, ustępuje mi pola.

Powoli wstaję i po raz pierwszy dociera do mnie, że tego pojedynku nie wygram. Nie jestem w stanie, ponieważ toczę walkę z kimś, kto zdecydowanie przewyższa mnie umiejętnościami. Jak to w ogóle możliwe? A jednak... I w tym momencie rodzi się we mnie szczere pragnienie ucieczki.

Spoglądam z ukosa na mego rumaka. Ale przeciwnik, jakby czytał w moich myślach, kiwa przecząco głową i zagraża mi drogę do wierzchowca. Więc wszystko stracone? Nie jestem w stanie w to ciągle uwierzyć. Niestety nie mogę też temu zaprzeczyć.

I nagle przez umysł przebiega mi całe moje życie. Dorastanie w rodzinnej wiosce, śmierć moich bliskich, niewola i walki na arenie. Wreszcie Aves, Otchłań i wszystko, co się tam wydarzyło, a na koniec obwieszczenie przez Otcha, że to ja sama jestem mityczną Anreą.

Jestem mityczną Anreą... – powtarzam to sobie w duchu i moje oczy się rozświetlają. Spoglądam nimi w oczy mego przeciwnika i zaskoczona dostrzegam, że także one raptem nabierają niesamowitego blasku.

Doprawdy nie wiem, co to oznacza, ale gnana jakąś tajemną siłą przeznaczenia rzucam się do decydującego ataku. Biegnę przed siebie i gwałtownie wyciągam do przodu miecz. Z kolei Allear rozpościera szeroko swe zbrojne ramiona, stając w znaku krzyża i przyjmuje me ostrze prosto w swe serce. Miecz przeszywa go niemal na wylot i śmiertelnie raniony mężczyzna wpada w moje ramiona. A wtedy mnie obejmuje, czyniąc to niemal czule. Nasze oczy w jednej chwili przestają lśnić i z ust Alleara słyszę żałobny szept:

– Znowu to robisz, matko... zabijasz mnie... – Po tych słowach patrzę na niego wręcz przerażona, a on, rżąc, z trudem dodaje: – To właśnie od zawsze robisz swoim dzieciom... Zsyłasz na nie cierpienie i śmierć... Od zawsze umieramy w twoich ramionach, lecz nie za swój... ale za twój własny grzech...

Mężczyzna umiera, a ja kładę go na zielonej trawie, niczym żałobnym całunie. Potem spoglądam na swoje dłonie – znaczy je krew. Kręcę przecząco głową i chwytam za nią, zastanawiając się, czego właściwie doświadczam, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego najwyraźniej ciągle błądzę, skoro nagle czuję się tak bardzo źle.

Patrzę bezradnie wokół siebie i widzę podjeżdżających do mnie moich kompanów, a także Allearów. Ci ostatni schodzą z rumaków i pokornie składają na stos swoją niezwykłą broń. Natomiast dwóch z nich okrywa zdobnym kocem swego martwego przywódcę. Lecz jest też przy nim kobieta, wojownicza, która roni nad nim prawdziwy, nieprzebrany ocean łez. Aż spogląda na mnie i z wielki bólem z siebie wyrzuca:

– On mówił... Od początku zapowiadał, że kiedyś się zjawisz i wtedy będzie ci musiał oddać swe życie... – Gorzko łka. – Zapowiadał, że odda ci swe istnienie, bo te należy do ciebie, jego matki... To ty jako pierwsza

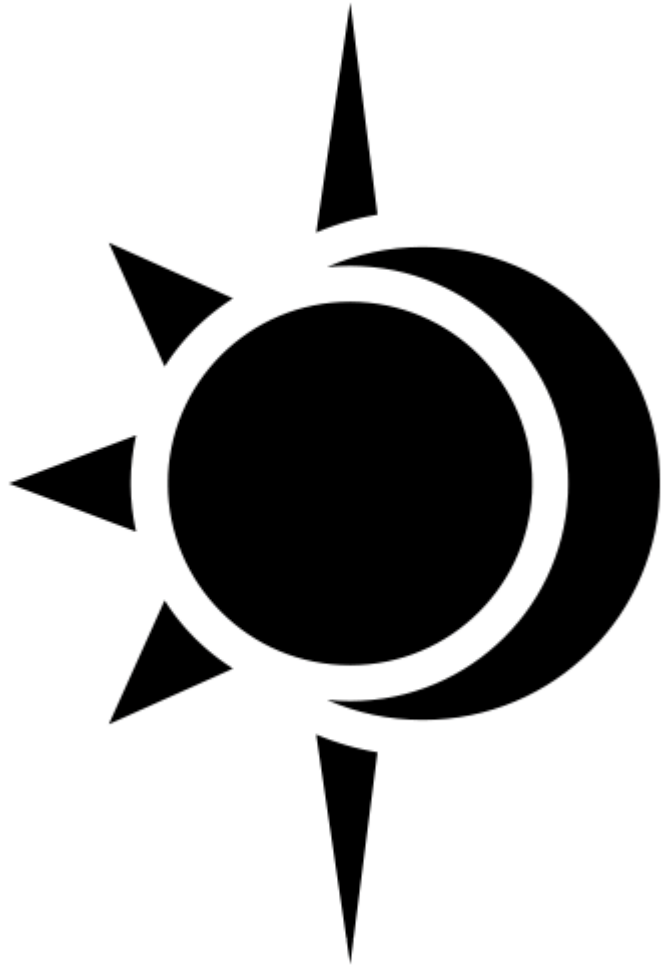
wydałaś go na świat. Od tamtej pory na niego powraca i zawsze koczy się to tak samo, zabijasz go, Anreo... zabijasz własne dziecko... A tym razem także wybrańca Allearów... I teraz nie mamy już wybrańca, nie mamy już nic... i nie czeka nas nic dobrego... Twoje rzucone na nas przekleństwo ciągle trwa...

Wkrótce Allearzy odjeżdżają ze swoim martwym przywódcą i zapada zmierzch. Oświadczam moim ludziom, iż pozostaniemy tu na noc, oraz że najbliższy czas mają mnie nie niepokoić.

Znajduję sobie ustronne miejsce pod samotnym drzewem i tam zasiadam. Próbuję zebrać myśli i zrozumieć prawdziwe znaczenie ostatnich wydarzeń. I tak bardzo żałuję, że nie zatrzymałam przy sobie na dłużej Zana. Wszystko bowiem wskazuje, iż tu, na pustkowiach, zabiłam mężczyznę, który był niegdyś naszym wspólnym synem z opowieści Gabu o mitycznej Anrei.

Ale dlaczego pierwotnie to uczyniłam, zabiłam własnego syna? Czy za to, że zdecydował się bronić Allearów, których ja tępiłam? Zan... On musi znać odpowiedzi na te bolesne pytania. Choć wszystko podpowiada mi, że sama już je odkrywam.

Co zaś mam teraz czynić? Załamuję ręce i rezolutnie pytam samą siebie: – Jak to, co? Przecież właśnie uśmiercam własnego, mitycznego syna z zamierzchłej ery. A skoro ten świat, po którym stąkam, daje mi czynić tak okrutne rzeczy, sama nie będę się wzbraniać przed żadnym występkiem, ale wobec samej siebie. Od tej pory nie będę już miała dla siebie litości, żadnej. Użyję swojej osoby i złożę w ofierze, jeżeli zajdzie taka potrzeba, aby ten błędny krąg wreszcie zakończyć. Cokolwiek się wydarzy, nie popełnię żadnego z przeklętych grzechów i ponad wszystko wreszcie zjednoczę kontynent Pendorum. Zakończę to, zwieńczę sukcesem, a moja determinacja jest w tym względzie obecnie wręcz absolutna.



V. KSIĘSTWO RAZZINAL

Złowroga zapowiedź Gabu okazuje się faktem. Po powrocie do Razzinal szybko potwierdzają się wieści o konflikcie między księstwem, a leżącą na południowym zachodzie konfederacją Favere. Książę Gachter zwołuje swoich bojarów nieopodal miasta Orizzo, gdzie zakłada obóz wojskowy i już niebawem poprowadzona zostanie stąd wielka wyprawa wojenna.

Nie inaczej, zamierzam wziąć w niej udział właśnie po stronie księcia. Przyświeca mi prosty cel – aby zjednoczyć Pendorum, muszę stać się na kontynencie kimś wyjątkowym, majątnym, sławnym oraz podziwianym. A jaka inna droga może do tego wieść niż poprzez wojaczkę?

Dlatego też zostawiam sobie doskonałe, krótkie miecze Allearów oraz ich wyjątkowy łuk i strzały, także odpowiednio wyposażam moich kompanów. Natomiast resztę zdobytego oręża, za sprawą Adory, sprzedaję na targu w Orizzo. Następnie za uzyskane pieniądze wybieramy się na plac w mieście, gdzie można nabyć najemników.

Po dłuższym namyśle decyduję się na trzydziestu doborowych, zaciężnych kuszników uzbrojonych też w halabardy. Zakładam bowiem, że walcząc, będę unikać bezpośredniej konfrontacji z wrogiem. Mój oddział powinien jedynie wspomagać główne wojska i prowadzić walkę na dystans. Oczywiście w tym celu lepiej byłoby nająć łuczników konnych. Jednak dodatkowe utrzymanie rumaków obecnie przekracza moje możliwości finansowe, jeżeli, jak zaznaczał bojar Alexy, potrzebuję co najmniej trzydziestu najemników, aby podpisać z księciem kontrakt.

Zaś tuż po najęciu kuszników udaję się właśnie do wspomnianego, znajomego bojara, a potem odwiedzam jeszcze zakonniczkę Hamri. Razem z nimi, aby uzyskać od nich dodatkowe wsparcie, kieruję się na audiencję do księcia.

Wkrótce jesteśmy w wojskowym obozie pełnym łopoczących na wietrze niebieskich chorągwi z różnorodnymi wizerunkami rogatej, srebrzystej łani. Docieramy do okazałego, książęcego namiotu i najpierw za jego poły strażnicy przepuszczają jedynie Alexego. Wychodzi on dość szybko na zewnątrz, poprawiając sobie na głowie perukę pięknych włosów i uśmiecha się na znak, że wszystko jest w porządku.

Potem samotnie wchodzi do namiotu Hamri. Ona spędza we wnętrzu książęcej siedziby jeszcze mniej czasu, za to wychodzi nieco zdenerwowana. A mijając mnie, rzuca ostrzeżenie:

– Uważaj na tego księciunia, bydlaka. – Wskazuje namiot.

Zaraz sama jestem wpuszczona do środka i stoję samotnie naprzeciw księcia Razzianl, Gachtera. To mężczyzna w średnim wieku oraz średniego wzrostu i dość potężnej postury. Prawie łysy z kruczymi włosami jedynie na potylicy. Za to z czarnymi wąsami w kształcie podkowy zwróconej ku dołowi, co nadaje mu dość srogi wygląd. Oczy ma piwne i wyrażające surowość. Ogólnie jego postać bynajmniej nie budzi zaufania ani sympatii.

Bez słowa przyzywa mnie gestem dłoni, a kiedy stoję tuż przed nim, z wyższością oznajmia:

– Więc mam przed sobą wojowniczą kobietę, która ponoć przebyła całą Otchłań, pomogła bojarowi Alexemu rozgromić pokaźny oddział barbarzyńców oraz wkradła się w łaski Zakonu Łuku i Strzał Srebrzystej Łani. – Kiwam na potwierdzenie głową, a książę lekceważąco kontynuuje: – Mam też przed sobą postać, która jest przeklętą przez Bogów niemową, zbiegłą niewolnicą, banitką, dowódczynią zgrai najemników i zwykłą dziwką błagającą mnie o kontrakt, by dla mnie walczyć za moje pieniądze. Czy tak...? – Mija dłuższy czas, a ja stoję zupełnie bez ruchu. Natomiast książę wzdycha ciężko i rozbierając mnie wzrokiem, smętnie dywaguje: – Może i jesteś waleczna, ale już za to urodą specjalnie nie grzeszysz... Choć osobiście nie jest to dla mnie przeszkodą... Więc zgadnij, jakiego dowodu lojalności bym od ciebie na ten czas zażądał. Jak myślisz...? Bo jeżeli nie wiesz, to znaczy, że jesteś zbyt głupia, by walczyć u mego boku... – Myślę, że nawet nie ma mowy, abym wyszła z tego namiotu z niczym. Dlatego się nie kryguje, tylko na potwierdzenie mego oddania zdejmuję napierśnik i odwiązuję sobie górną przepaskę, odsłaniając nagie piersi. W końcu w imię

zjednoczenia Pendorum dopiero co zabijam własnego mitycznego syna, więc miałabym się wahać przed ofiarowaniem własnego ciała? Na tę myśl wręcz czuję rodzaj dzikiej przyjemności. Albowiem wiem, że jeżeli księżę skorzysta z rozkoszy mego ciała, zgodnie z przepowiednią Otcha, w ciągu roku będzie to oznaczać dla niego wyrok. On natomiast przykuwa do mnie uważny wzrok i drapiąc się po brodzie, lubieżnie stwierdza:

– Skoroś taka ochocza, to pokaż wszystko, co tam skrywasz... – Wskazuje wyraźnie pobudzony poniżej mego pasa. Rozbieram się do końca i zaraz jestem całkiem naga. – Dobrze, bardzo dobrze... – Mężczyzna z zadowoleniem wodzi palcami po moich bliznach na ciele. – Szkoda, że nie masz więcej okaleczeń, a do tego świeżych – zauważa z rosnącą żądzą w głosie: – Choć mnie najbardziej interesuje to całkiem naturalne rozcięcie... – Kładzie mi rękę na kroczu i łapczywie dopytuje: – A może masz teraz miesięczny czas, przyznaj się, krwawisz i to obficie niczym zarzynana świnia...? – Kiwam twierdząco głową, bo tak przedstawia się prawda. – To dobrze, a wręcz wyśmienicie... I już nie mogę się wręcz doczekać, kiedy... – Mężczyzna ucina zdanie, gwałtownie odwraca mnie i popycha tak, że brzuchem kładę się na blat stołu. – Złącz razem nogi, tylko mocno: – rozkazuje. Gdy to czynię, księżę wykonuje silne pchnięcie biodrami. Nagle czuję w kroczu rozrywający ból, ale w odpowiedzi tylko szeroko otwieram usta i wyciągam przed siebie rękę. A za sobą ciągle słyszę ten odpychający głos, uderzającego mnie od tyłu biodrami, posapującego, przyszłego trupa: – Szkoda, że nie możesz krzyczeć, jęczeć i stękać... Zaprawdę wielka to szkoda, a moja mniejsza przyjemność, och... Za to wielce podoba mi się, jak napinasz kurczowo wszystkie mięśnie na plecach, rozczapierzasz palce i wczepiasz paznokcie w blat stołu... Boli, prawda? Powinno bleć, ty mała, chętna, ruda suko... Och, ty suko, och...

Zaraz jest już po wszystkim. Ocieram chustą z głowy moje krocze i po prostu zaczynam się ubierać, aby czym prędzej opuścić to przeklęte miejsce mego upokorzenia i człowieka, którego właśnie zabijam, samej się upadlając. Zakładam na siebie kolejne partie ubrania i ciągle dochodzi do mych uszu, tym razem odprężony, ale ze wszech miar obmierzły mi głos władcy Razzinal:

– Zatem umowę między nami uważam za zawartą, przypieczętowaną twoją krwią i moim nasieniem zmieszany ze sobą, he, he... Także służ

mi, ty chętny rudzielcu, walcz dzielnie pod mym sztandarem. I nieważne ilu zwerbujesz najemników. Wszystkie koszty zawiązką i tak pokryję. Jeżeli zaś zechcesz za miesiąc odnowić kontrak, to ciebie też pokryję, jak jelenią łanię... Słowem powtórzymy naszą małą zabawę... I zaznaczam, że nie musisz wlewać sobie do gardła napoju Harremid. Jeżeli powijesz mi bękarta, zapłacę ci za niego sto... powiedzmy pięćdziesiąt Razzenów... dwadzieścia pięć za córkę... A teraz wynoś się stąd, idź precz i zejź mi z oczu, ty łatwa dziwko.

To, co właśnie zrobiłam swemu ciału, jest po prostu obrzydliwe i czuję się wręcz tak, jakbym ponownie trafiła w matnię Otchłani, a nawet gorzej. Ale zaraz znowu myślę o tym, że zbrukanie ciała nie jest chyba straszniejsze niż choćby zabicie człowieka. Zaś ludzi pozbawiłam życia już tak wielu i przed chwilą ponownie to uczyniłam. Choć tego zgonu, który ma się ziścić w ciągu roku, na pewno nie będę żałować. Odchodząc od namiotu księcia, z niewysłowioną pogardą spluwam w jego kierunku przez ramię – niech zdycha – to moje ostatni życzenie skierowane w książęcą stronę.

*

W liczbie kilku tysięcy zbrojnych armia księstwa Razzinal opuszcza obóz wojskowy i rozpoczyna długi marsz na zachód przy wewnętrznym morzu kontynentu Pendorum. Potem skręca na południe, gdzie pośród lasów i niezbyt wysokich gór zamieszkują plemiona konfederacji Favere.

Szybko okazuje się, że tutejszy przeciwnik nie zamierza przystąpić do walnej konfrontacji. Jego piesze oddziały pojawiają się gdzieś na szczytach wzniesień, by ścigane zaraz zniknąć w leśnej gęstwinie. Z kolei wysyłane wokół liczne patrole coraz częściej wcale nie powracają, padając łatwym łupem zaznajomionego z terenem wroga.

W związku z tym książę Gachter wydaje rozkaz o rozproszeniu się głównej armii. Od tej pory każdy z bojarów ma działać na terenach konfederacji Favere na własną rękę, łupiąc wioski i osłabiając przeciwnika. Dopiero po sprowokowaniu wroga i odniesieniu kilku pomniejszych zwycięstw planowane jest ponowne zgrupowanie wojska i uderzenie na jedną z twierdz pogranicza.

Osobiście nie jestem taką decyzją zachwycona, ponieważ o ile poszczególne oddziały zbrojne arystokratów liczą zwykle po kilka setek żołnierzy, to sama dysponuję ledwie ponad trzydziestką najemników. Przez to potencjalna konfrontacja z wrogiem mogłaby się dla mnie okazać moją ostatnią.

Dlatego nie zamierzam kusić losu i ślepo włączyć się po tutejszych leśnych bezdrożach w poszukiwaniu śmiertelnie niebezpiecznych wrażeń na wojennej ścieżce. Zamiast tego wysyłam w teren poruszających się konno Ravela oraz Virię. To para doskonale się uzupełniających zwiadowców, dzięki którym stale jestem informowana o pozycjach wojsk bojara Alexego. I nie inaczej, tylko staram się trzymać tych pozycji jak najbliżej.

Aż pewnego dnia, skoro świt, Ravel z partnerką przybywają galopem do naszego obozu i oznajmiają, że Alexy został osaczony na jednym ze wzgórz przez dwóch jarłów z konfederacji Favers. Bitwa wydaje się tam nieunikniona, a stosunek wojsk wynosi dwa do jednego na niekorzyść mego sojusznika z księstwa Razzinal.

Na te wieści z nadzieją spoglądam na najętych przeze mnie kuszników. Albowiem właśnie podejmuję decyzję, że czeka ich chrzest bojowy w moich szeregach i to taki, w którym naprawdę będą zmuszenie się wykazać. Zarządzam natychmiastowy wymarsz i każe Raveolwi oraz Viri czym prędzej poprowadzić nas na wzgórze zajęte przez Alexego.

Po dotarciu do celu znajomy bojar z piękną peruką jasnych loków na głowie wita mnie niemal ze zruszeniem i gorączkowo przedstawia bieżącą sytuację. Otóż w obliczu przeważającego wroga schronił się na wyniosłości terenu w celu zajęcia lepszych pozycji i zniechęcenia konfederatów plemiennych do ataku. Jednak ci wydają się zdeterminowani i już rozpoczęli frontalne podejście pod wzgórze. Dowiaduję się, że przeciw nam sunie przez zalesioną część wzniesienia doborowa piechota toporników z tarczami wspierana przez nielicznych, przeciętnych łuczników.

Zajmuje mi trochę czasu wywarcie presji na Alexym, aby zgodził się na mój system obrony. Bojar w końcu daje za wygraną, gdy przypominam mu nasz wspólny sukces w bitwie z barbarzyńcami, a osiągnięty wówczas głównie za sprawą realizacji właśnie moich planów.

Tak oto zajmujemy pozycję nieco poniżej szczytu wzgórza, czyli na jedynym miejscu pozbawionym w okolicy drzew. Na polanie ustawiam w jednej linii przykucniętych moich trzydziestu kuszników, a tuż nad nimi stawiam pięćdziesięciu łuczników Alexego. Jego doborową, ciężką konnicę chowam na tyłach na zalesionym szczycie. Natomiast z przodu wysunięte zostają dwa czworoboki piechoty z Razzinal. Zajmują one pozycje na dwóch krańcach jednostek strzeleckich, tak, aby łucznicy oraz kusznicy mieli osłonięte flanki, a jednocześnie swobodną możliwość ostrzału.

Na koniec wydaję bezpośrednie rozkazy moim kompanom. Viria ma zdecydować, w którym momencie jednostki strzeleckie zaprzestaną ostrzału i uzbroją się w halabardy. Adorę ustawiam w szeregu kuszników, a Gabu za jej plecami z bronią drzewcową. Z kolei Ravel, Exon oraz Kalilla mają wraz ze mną udać się na harce aż na tyły wroga.

Ten zaś właśnie nadciąga. Są to równe szeregi piechoty konfederatów osłoniętych wysokimi tarczami, co czyni ich praktycznie odpornymi na frontalny ostrzał. Lecz sytuacja się zmienia, gdy pierwsi wrogowie ścierają się z piechotą z Razzinal. Bowiem znaczna część toporników z Favere rusza przodem pomiędzy dwoma czworobokami piechoty Alexego i próbują zaatakować ją z flank. Wówczas na odsłonięte boki konfederatów, ich ramiona, żebra, uda i skronie spada prawdziwy deszcz strzał i bełtów. Padają całe dziesiątki wrogów, lecz ich miejsce zajmują kolejni i sytuacja się zaraz powtarza. Sama natomiast wiem, że obrona taktyka będzie skuteczna, ale jedynie do czasu, dopóki napór wytrzymają czworoboki Alexego. I chociaż wchodzący w ich skład żołnierze zajmują dogodniejszą, bo wyższą pozycję, to jakościowo ustępują zdolnościom bitewnym przeciwników.

Tymczasem wraz z trójką kompanów porywam się konno prawą flanką po zalesionym zboczu wzgórza i niepostrzeżenie przedzieramy się na tyły wroga. W ruch idą strzały moje oraz Kalilli, a ja niezwykle doceniam właściwości allearskiego oręża. Mogłoby się wręcz wydawać, że wypuszczane strzały same szukają celów, do tego broń Allearów jest niezwykle lekka, a przy tym poręczna.

Będąc w ciągłym ruchu, wystrzeliwujemy drzewce z grotami w plecy piechurów z Favere, aż dojeżdżamy do wrogich łuczników. Zauważamy się

nawzajem w tym samym momencie. Jednak o ile łuczniczki zakładają w pośpiechu strzały na cięciwy, my dobywamy białą broń i atakujemy!

Wjeżdżamy w szereg przeciwników, po czym w ruch idą nasze miecze i włócznie. Sama tnę z góry w głowy konfederatów, to wymierzone we mnie łuki, które rozcinam, zanim wystrzelone zostaną z nich strzały. Choć kilka z zakończonych grotami drzewców trafia mego rumaka i ten raptem przeraźliwie parska, stając dęba.

Nie czekam, aż wierzchołek mnie zrzuci, tylko wyjmuję nogi ze strzemion, wypuszczam z dłoni miecze i rzucam się na jednego z wrogów. Łapię go wpół i toczę się z nim w dół po pokrytym krzakami zboczku.

Wtem na naszej drodze staje drzewo i zatrzymuję się na nim boleśnie. Podczas gdy łucznik wpada w pobliskie zarośla. Zbieram się w sobie i udaję w pogoń za wrogiem, chociaż właśnie tracę go z oczu. A tuż przed gęstym listowiem stoję jak wryta, kiedy w moje udo wbija się rzucony sztylet. Padam na jedno kolano, ale zagryzam zęby i krzywiąc się z bólu, skaczę na oślep w krzaki, zanim przyjdzie z nich kolejny atak. Wpadam z impetem na schowaną w gęstwinie postać i ponownie toczymy się we wspólnym uścisku, tym razem po stromej skarpie.

I raptem oboje znajdujemy się w wolnej przestrzeni. Wymachujemy bezradnie rękoma i nogami, po czym spadamy do błotnistej mazi. Bagno amortyzuje upadek z wysokości i już zamierzam ruszyć na wojownika z konfederacji, ale raptem się orientuję, że utknęłam. Zanurzona po pas w błocie i gnijących liściach, nie mogę się z nich wydostać. Wyciągam więc tylko przed siebie ręce i napotykają one wrogiego żołnierza, który jest w takich samych opałach, jak ja.

Rozpaczliwie próbujemy się wspiąć po sobie nawzajem. Ale efekt tego jest tylko taki, że wspólnie, szamocząc się, coraz bardziej pograżamy się w błotnej mazi!

Aż gwałtownie odpycham od siebie mężczyznę i z trudem czynię do niego proste gesty:

– „Nie walczmy, nie walczmy”.

Postać z zakrwawioną twarzą od razów moimi paznokciami i poprzyklejanym do policzków błotem spogląda na mnie zagadkowo. Ale chyba mnie rozumie, ponieważ wskazuje ręką pobliską gałąź. Wojownik

jest bliżej konaru, dlatego czynię gest, aby go chwycił. Udaje mu się, a wtedy łapię mężczyznę za drugą rękę i pokazuję, że będę się wspinać po jego plecach. Po chwili wahania wyraża zgodę i z wielkim trudem gramolę się na jego plecy. Aż przetaczam się po nich na względnie twardą powierzchnię.

Z kolei zanurzony po tors w bagnie wojownik, ciągle trzymając się jedną ręką za gałąź, drugą dłoń wyciąga do mnie. Nie waham się, tylko łapię wyciągniętą kończynę i co sił staram się ciągnąć ku sobie. Czynię to z wielkim mozołem, ale skutecznie, wpatrując się w oczy pełnego nadziei na ocalenie łuczника. I to prawda, że po udzielonej mi pomocy, nie zamierzam go już skrzywdzić, a wręcz przeciwnie.

Jeszcze chwila i... nieoczekiwanie ciało żołnierza wiotczeje. Spoglądam na niego pytająco i dostrzegam strzałę wbity w samo serce. Zaskoczona rozglądam się wokół i w pobliżu zauważam Kalillę z łukiem. Kobieta z Razzinal podchodzi do mnie i chłodno rzuca:

– Wygraliśmy bitwę i teraz polujemy na niedobitków.

*

W obozie Alexego zasiadam w namiocie na taborecie, gdzie Gabu czyni mi z pietyzmem okład na zranione udo, które wcześniej zaszywa, a teraz dokładne przewiązuje bandażem. Przy czym zaznacza, że ranę potraktował między innymi żywicą krwią z demonicznego drzewa, co powinno przyczynić się do błyskawicznego wygojenia nogi.

Przyjmuję te wieści z ulgą, bowiem kampania wojenna za ziemiach konfederacji Favera jest w zenicie i szybko muszę być ponownie gotowa do boju mimo właśnie odniesionego zwycięstwa.

Tymczasem witam w namiocie jego gospodarza, który wymachując kielichem wina, pozdrawia mnie kolejny już raz po stoczonych bitwach:

– Boska wojowniczo, bądź pozdrowiona, Matko Cień! – kłania się nad wyraz nisko Alexy. Następnie zajmuje taboret naprzeciw mnie i wskazując na moją nogę, z powagą zapytuje: – Poważna rana? – Zaprzeczam, kręcąc głową: – Wyśmienicie! – powraca do wielce radosnego nastroju bojar: – A czy słyszałaś już, pani, w jaki to sposób rozgromiłem wroga?! – krzyczy, a ja wzruszam jedynie ramionami. Chociaż domyślam się, że wygrana odbyła się zgodnie z realizacją nakreślonego przeze mnie planu. Alexy szybko

utwierdza mnie w tym przekonaniu, snując obszernie sprawozdanie z potyczki na wzgórzu: – Kiedy wroga armia napierała na me nieustraszone czworoboki piechoty i te łamały swe szyki na wzór trapezów i trójkątów! Wówczas kobieta zwana Virią dała sygnał do rozstąpienia się łuczników, jak i kuszników. A wtedy nakazałem mej potężnej konnicy miażdżącą szarżę prosto z góry pomiędzy piechotę z Razzinal! Znajdująca się tam wroga armia została dosłownie wgnieciona w ziemię! Natomiast jednostki strzeleckie dobyły w dłonie miecze oraz halabardy i rzuciły się za konnicą do szturm! Cały środek pola bitwy został z łatwością zdobyty i od tej chwili rozgromiony przeciwnik rzucił się w popłochu do panicznego odwrotu! I ścigaliśmy go po całym stoku góry! Dobijając oraz biorąc w niewolę! A tak! Zaś odnośnie do niewoli... – Alexy naraz łagodzi swój ton i puszcza mi oko, po czym gestem dłoni zaprasza osoby stojące poza namiotem. Po chwili strażnicy wprowadzają do wnętrza dwójkę dobrze ubranych, choć ubłoconych i trochę poturbowanych więźniów. – Oto jarl Bezręki. – Bojar pokazuje na zatrzymanego mężczyznę bez prawej ręki powyżej łokcia. – Oraz jarl Kamienny Tors. – Spogląda na drugiego więźnia z niezwykle potężną klatką piersiową. Potem przenosi wzrok na mnie, a zwraca się dumnie właśnie do jeńców: – Oto znowuż zwycięska i coraz słynniejsza Matka Cień, dowódczyni najemników Księcia Gachtera i teraz jeden z was, faverskie robaczki, powędruje do niej w niewolę. Któryś na ochotnika?! – Mężczyźni zgodnie spuszczają nisko głowy. W odpowiedzi sama dokonuję wyboru, wskazując na mężczyznę bez ręki. Może zwyczajnie przez litość, bowiem nic złego nie będzie mu z mojej strony grozić. – Doskonale! – wypala na to Alexy i już melancholijnie dodaje: – Jarl Bezręki należy zatem teraz do ciebie, Matko, i jest na twej łasce. Ale osobiście sugerowałbym wziąć za niego sowity okup...

– „Odprowadźcie jeńca w bezpieczne miejsce, oddajcie mu broń i wypuście” – czynię ruchy dłońmi w kierunku Adory. Ona wychodzi z namiotu, aby przekazać moje polecenie dalej. Z kolei rozochocony Alexy, choć nic nie rozumie z mojego przekazu, wlewa sobie do gardła pokaźną ilość wina, wyciera ostentacyjnie rękawem mokrą brodę i gromko do mnie krzyczy:

– Bardzo dobry wybór, wręcz doskonały! W całej rozciągłości popieram!

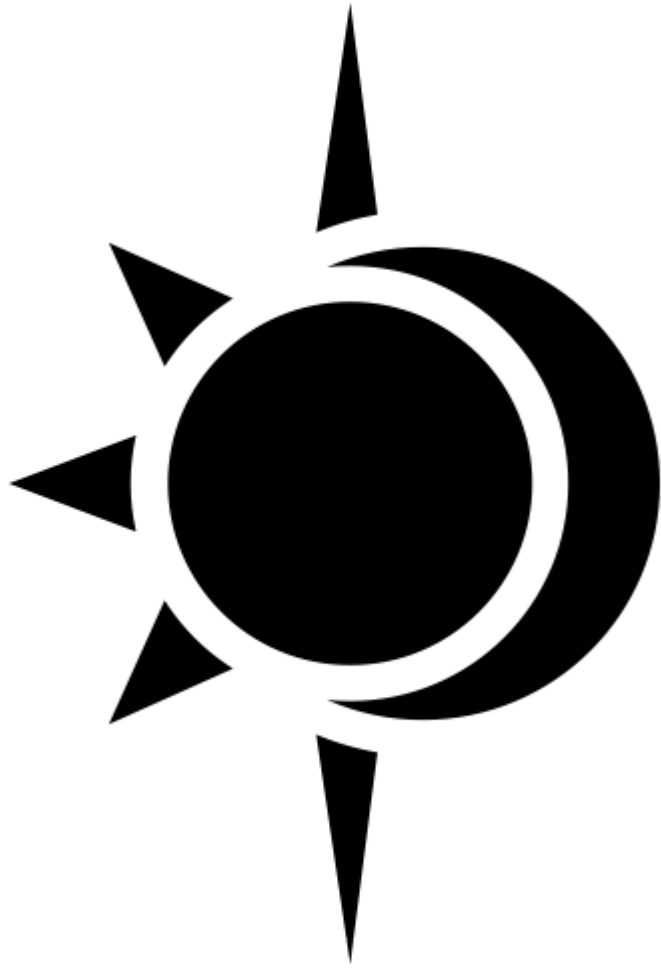
*

Po zwycięstwie na wzgórzu nie mija wiele dni, a księżę z Razzinal ogłasza koncentrację wojsk pod jedną z granicznych twierdz konfederatów. Rozpoczyna się oblężenie, w którym uczestniczę z moją kompanią. Potem następuje szturm i tym razem trzymam się na uboczu. Dzięki temu nie ponoszę strat w ludziach, ale i moja sakiewka nie wypełnia się dodatkowo złotem. Jednak cennych monet zdołałam już nieco zaoszczędzić.

Z kolei po zdobyciu twierdzy nastaje koniec wojny, która kończy się podpisaniem pokoju. Osobiście, choć mam taką możliwość, to nie przedłużam umowy z księciem Gachterem. Tym razem decyduję się oddać me nieocenione usługi jarlowi przewodniczącemu obecnie konfederacji Favere, a mianowicie Olfowi Żelaznookiemu.

I jestem przekonana, że skorzysta on z mojej kompanii najemników. Ponieważ osłabiona przegraną z Razzinal konfederacja Favere właśnie została najechnana od południa przez konne zastępy chanatu Precis.

Ja zaś mam wielce ambitny plan, aby kolejno zostać najemnikiem każdego z władztw kontynentu Pendorum, wszak z wyłączeniem cesarstwa Terraticos. Przyświeca mi w tym prosty, dwojaki cel. Z jednej strony uważam, że powinnam zasłynąć jako osoba niezwiązana bezpośrednio z żadnym władztwem, za to w każdym ceniona – i to dlatego wspieram w boju bojara Alexego, a uwalniam jarla Bezrękiego. Ponadto podejmuję trudną decyzję, aby użyć swego kobiecego ciała i za jego sprawą zesłać śmierć na wszystkich władców tego kontynentu. I wówczas, w powstałym chaosie, objawię się światu właśnie ja – Matka Cień, mityczna Anrea – jedyna pełnoprawna pretendentka do wszystkich tronów Pendorum.



VI. KONFEDERACJA FAVERS

Na skraju wielkiej puszczy, gdzieś w centralnej części konfederacji plemiennej Favere, odnajduję obóz jarla Żelaznookiego. Wszak pojawiają się z kompanią powiększoną po drodze o dwudziestu doborowych toporników. Są to ludzie, których przysyła mi w podziękowanie za uwolnienie jarla Bezręki, a ja nie zwykłam odrzucać tak hojnych darów.

W obozie, gdzie docieramy, prowadzi nas Viria odpowiednio zaznajomiona z tutejszymi zwyczajami. Przeprowadza ona kilka krótkich rozmów z możnowładcami oraz strażnikami i niebawem zostaje mi udzielona audyencja w cztery oczy z głównodowodzącym wojsk Favere.

Zastaję go w namiocie dokładnie czeszącego wspaniałego niedźwiedzia o płomiennej barwie. Kiedy zaś wkraczam do namiotu, władca przenosi na mnie wzrok i dłuższy czas koncentruje uwagę na puklach moich rudych włosów wystających spod chusty na głowie. Potem ponownie spogląda na swego czworonożnego, budzącego respekt pupila. Zauważam, że jarl zdaje się jakby porównywać kolor moich włosów oraz sierści zwierzęcia. I doprawdy nie wiem, czy powinno mi to schlebiać, czy wręcz przeciwnie.

Z tego powodu z pewną rezerwą patrzę na nieco otyłego i podstarzałego mężczyznę z łysymi zakolami na skroniach. Za to z długą siwo-rudą brodą i wąsami. Ten z kolei nagle tarmosi swego niedźwiedzia za pysk, niczym zwykłego psiaka i mając na myśli moją osobę, zwraca się właśnie do niego:

– Tylko zobacz, mój Gragezonie, kto nas zaszczycił swoją osobą. Toż to sama Matka Cień, postać przybyła ze swoją watahą z samej Otchłani, by wspierać wzniesiony oręż władców Pednorum. To prawdziwa Bogini Wojny niczym sama mityczny Anrea! Zatem uczynij jej usłużnie pokłon... – Zaskoczona oglądam, jak niedźwiedź patrzy na mnie, po czym pochyła swój masywny łeb i pociera pysk przednimi łapami. – Doskonale, wybornie! – Cieszy się na ten popis jarl Żelaznooki. A ja dopiero teraz

dostrzegam nietypowy błysk w jego lewym oku, które rzeczywiście wydaje się imitacją z metalu, gdy odbija się w nim światło ze świecy płonącej na stole.

Następnie władca z widocznym trudem odrywa się od zaabsorbowania swoim czworonogiem i tym razem, jakby na odczepnego do mnie przemawia:

– Kontrakt na miesiąc... Tak, oczywiście, że się zgadzam. I jeżeli będziesz służyć mi swym orężem tak dobrze, jak Gachterowi, to nie omieszkam obsypać cię złotem. Uśmiecha się niewinnie, prawie jak dziecko, a ja zauważam w rozchyłonych ustach ledwie kilka pożółkłych zębów.

W tej chwili pewnie powinnam gorąco podziękować i wyjść z namiotu, osiągając swój główny cel. A mianowicie angaż na kolejną wojnę. Jednakże pomna mych dalekosiężnych planów zapanowania nad kontynentem Pendorum, staram się przemóc wewnętrzne opory i skutecznie zrealizować jeszcze jedną misję.

Dlatego podchodzę do jarla bardzo blisko i uśmiechając się uwodzicielsko, przeczesuję jego długą brodę. Bawię się nią, zaplatając palcem loki, a władca patrzy na mnie wyraźnie onieśmielony, podczas gdy z okolic jego stóp rozlega się złowrogi niedźwiedzi warkot.

Spoglądam na zwierzę, czyniąc to z pewną obawą, bowiem widocznie odczytuje ono moje właściwe, mroczne intencje. Lecz wystarcza, że moje oczy na moment się rozświetlają, a czworonóg natychmiast potulnieje.

Zaskoczony tą sceną jarl wyciąga w jego kierunku rękę. Ale za dłoń chwytam ja sama, po czym przykładam ją sobie do policzka i ocieram się o nią.

– Ależ nie trzeba, naprawdę... – duka na to niepewnie władca i wydaje się coraz bardziej skonsternowany. W przeciwieństwie do mnie, bo mocniej popycham go przed siebie, aż kładzie się na blacie stołu, przewracając jedną z palących się tam świec. Następnie na dobre przejmuję inicjatywę, wdrapując się na mężczyznę i zaczynam nas oboje rozbierać. – Ale... moja żona... jeżeli się dowie... – Jarl Żelaznooki próbuje się bronić, nie tylko słowami, ale także rękoma. Jednak ja posiadam na tę okazję doskonałą technikę walki wręcz i jeżeli będzie trzeba, mężczyznę pode mną jestem

gotowa nawet obezwładnić. I niemal to czynię, zaplatając wokół niego moje ramiona, aby nie mógł mnie z siebie zepchnąć.

Aż w końcu jesteście pół nadzy i wydawałoby się gotowi do miłości. Lecz rozczarowana marszczę brwi i spoglądam poniżej pasa mego kochanka, a wtedy całkiem rzadnie mi mina. Niewielkie przyrodzenie jest zupełnie pozbawione swego męskiego potencjału. Zaś jarl wyjaśnia:

– Jak wspominałem... gdyby moja żona się dowiedziała, że znowu potrafię dać jej przyjemność, jako mężczyzna... Długo, oj długo nie dałaby mi spokoju... Ja jednak... – Bezradnie rozkłada ręce. Lecz ja nie słucham tego żalosego skamlenia, tylko robię, co mogę, aby chociaż na chwilę jarl ponownie stał się w pełni mężczyzną. A że nie jest to proste zadanie, rozpoczyna się o to prawdziwa walka.

Zagryzam mocno usta kochanka, kąsam go w policzki, brwi i ramiona, to małżowinę uszną. Jednocześnie wije się na mężczyźnie i ocieram piersiami o jego tors pokryty siwymi włosami. Natomiast jego dłonie składam sobie na pośladkach. A kiedy i to nie daje rezultatu, wówczas chwytam przewróconą, jeszcze palącą się świecę, po czym gorący wosk wylewam na klatkę piersiową mężczyzny. To samo czynię z jego brzuchem i schodzę jeszcze niżej.

I raptem mój kochanek robi wielkie oczy w odpowiedzi na zaistniałą zmianę poniżej jego pasa. Sama nie tracę ani chwili i dosłownie przez moment naprawdę się kochamy. Ale to wystarcza, aby jarl już doznawał spełnienia. I ponownie oklapły, po krótkim uniesieniu, oznajmia:

– Na potężnego Gragezona... Pomyśleć, że sądziłem, iż z przyjemności na tym świecie nie pozostało mi już nic poza doglądaniem niedźwiedzia... Och, pani, dziękuję ci... Zaprawdę zjawiłaś się tutaj niczym posłanniczka samej boskiej Harremid... Zaś twój dar jest wart wręcz mego życia...

Myślę, że cena za tę chwilę przyjemności zapewne taka właśnie jest. Dlatego puszczam te wyrazy wdzięczności mimo uszu i jakby nigdy nic staję obok stołu, po czym zakładam swój strój gladiatrix. Z kolei mój były kochanek spoczywa dalej na blacie i naraz wydaje się niczym martwy. Szczególnie, kiedy zamyka jedyne prawdziwe oko.

Czyżbym tak szybko sprowadziła na niego śmierć naszą miłością? – myślę tak naprawdę i przykładam ucho do serca władcy. Te jednak bije

miarowo, za to jego właściciel najwyraźniej właśnie zasypia, ponieważ z jego rozwartych ust z żółtym uzębieniem dobywa się w tym momencie donośne chrapanie.

Wobec tego zakładam ostatnią część mojej garderoby, czyli chustę na głowę, którą dopiero co sama sobie ściągnęłam, aby wabić kochanka czarem mych włosów. I w pełnym ubiorze opuszczam tego mężczyznę, czując się trochę tak, jakbym dokonała na nim gwałtu. Cóż, czasem role się odwracają – podsumowuję z satysfakcją i uśmiecham się w duchu, ponieważ uzyskuję wszystko, po co tu pierwotnie przybywam.

Tymczasem pogranicze konfederacji oraz chanatu staje w ogniu i ze swoją kompanią ponad pięćdziesięciu ludzi kieruję się właśnie w tę stronę. Po drodze jednak zatrzymuję się w jednej z okazałych warowni konfederatów, aby odwiedzić tam Zakon Topora Zielonego Niedźwiedzia ku czci Boga siły i walki Gragezona.

Szczęśliwie, dzięki posiadanemu pierścieniowi Zana, dane mi jest się spotkać z samym wielkim mistrzem zakonnym – Gorlem. Gości mnie on na otoczonym kolumnami dziedzińcu, gdzie zakonnicy ćwiczą walkę. Moją uwagę najpierw skupiają sami święci wojownicy. Ich zbroje wpadają kolorem w ciemne srebro i zdają się o wiele cięższe oraz masywniejszy od przywdziewanych przez przedstawicieli Zakon Łuku i Strzał Srebrzystej Łani. Zresztą podziwiani prze mnie czempioni to niemal wyłącznie mężczyźni, a każdy z nich odznacza się ponadprzeciętną posturą i w większości niemal o połowę przewyższają mnie wzrostem.

Sam wielki mistrz, który właśnie do mnie podchodzi, nie jest aż tak rośli i obecnie ma zdjęty hełm. Spogląda na mnie dłuższy czas w spokoju, jak przyglądam się innym zakonnikom, aż gestem ręki proponuje przechadzkę. Oczywiście wyrażam zgodę, czyniąc to skinięciem głowy i zaraz kroczymy koło siebie, a towarzyszy nam szcęk krzyżowanego oręza oraz wojownicze okrzyki ćwiczących.

Sama nie gestykuluję i czekam na to, co zademonstruje Gorl. Ale on wcale nie wydaje się kwapić do rozmowy i tylko patrzy rażno wprost przed siebie. A skoro tak, to wreszcie sama podejmuję inicjatywę:

– „Czy zakonnicy walczący w imię Gragezona są najsilniejsi”? – zapytuję, układając dłonie w odpowiednie formy. Na szczęście jestem

rozumiana i od razu uraczona dłuższą odpowiedzią:

– Siła jest naszą domeną, nie da się tego ukryć – stwierdza swobodnie wielki mistrz. – Ale ta siła przejawia się na wielu polach, nie tylko czysto fizycznej mocy, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

– „Co konkretnie”?

– Otóż... Bogowie ulegają nieraz ludzkim pokusom, słabościom. Ludziom zaś, dzięki sile, nieraz dane jest się wznieść na wyżyny, niczym samym Bogom. I naszą siłę hartujemy właśnie w tym celu, aby zawsze sprostać wszelakim wyzwaniom, jakie niesie świat. Zawsze staramy się być silni i gotowi na przekór wszelkim przeciwnościom losu, by zbliżyć się do boskości.

– „A jeżeli któryś z zakonnych braci wykaże słabość”?

– Wówczas czeka go sąd. – Gorl wzrusza ramionami. – Lecz nie tyle osądzamy słabość nieszczęśnika, który nie podołał danemu zadaniu, a debatujemy, czy znajdzie on w sobie dość sił, aby swe przewiny naprawić.

– „Czy ty także popełniałeś błędy z powodu swej słabości”?

– O tak... – Wielki mistrz po raz pierwszy ozdabia swą twarz uśmiechem, który jest nader szczery i z dumą dodaje: – Jednak moją prawdziwą mocą jest przekuć w nią każdą słabość. To dlatego zostałem wybrany na przewodnika tego zakonu. A ponoć ma siła pozytywnie promieniuje, zarażając sobą pozostałych. – Puszczą mi oko i tym razem to ja się z lekka uśmiecham, po czym ponownie z zaciekawieniem dopytuję:

– „Tak osoba, jak ja... Mogłabym dołączyć do waszego zakonu”?

– Hm... – Gorl przygląda mi się uważniej, koncentrując w szczególności uwagę na moim wytatuowanym udzie i oznajmia: – Nosisz nadane ci znamię mitycznej Anrei, Bogini Matki. Zaś ciebie samą zwą Matka Cień i te elementy sugerują, że nie jesteś obojętna Bogom. Ponadto odkąd krocysz po krainie Pendorum, czynisz to już nie sama, a z rosnącą sławą... Jednakże najpierw musielibyśmy poddać cię bezpośredniej próbie, abyś mogła do nas dołączyć...

– „Co to za próba”? – interesuję się, a wielki mistrz wyjaśnia:

– Jak wiesz, trwa wojna konfederacji z chanatem. Lecz zapewne jeszcze nie wiesz, iż zdecydowaliśmy się wziąć udział w tym konflikcie po stronie

Favers. Po wojnie z Razzinal, także za twoją sprawą... konfederacja osłabła, a my nie chcemy dopuścić, aby siły całkiem ją opuściły, rozumiesz...? – Kiwam na potwierdzenie głową. – W związku z tym wysyłamy w bój kilka oddziałów naszych zakonników i myślę, że mogę zaproponować ci, aby część naszych braci dołączyła na czas wojny do twojej kompanii. Zgódź się, wykaż bitewne zaangażowanie, a przede wszystkim zwyciężaj, okazując swą siłę. Jeżeli tak będzie, to zakonni bracia, twoi przyszli towarzysze na polu walki, potwierdzą twe prawo do wstąpienia do naszego zakonu i nic nie stanie temu na przeszkodzie. Ale pamiętaj... – Wielki mistrz patrzy na mnie surowo. – Każdy śmiertelnik może przystąpić tylko do jednego zakonu i czyni to na całe swe śmiertelne życie...

– „Rozumiem i zgadzam się na próbę” – Dwukrotnie składam razem dłonie.

Po skromnym posiłku w towarzystwie wojowników zakonu opuszczam twierdzę konfederatów i z powiększonym o dziesięciu pieszych zakonników oddziałem kieruję się na południe. Po drodze mijam kilka wiosek plemiennych, gdzie udzielony zostaje nam nocleg i otrzymujemy strawę. Za każdym razem nie szczędzę monet, płacąc tymi samymi, które otrzymuję od władców na utrzymanie swojej kompanii.

Zauważam też, że ludzie z Favers są inni niż ci obserwowani w księstwie Razzinal czy cesarstwie Terraticos. Panuje tu większa otwartość, swoboda obyczajów i szczerść w kontaktach międzyludzkich. Sama społeczność jest mniej rozwarstwiona i mieszkańcy są wobec siebie niemal równi, choć w szczególności poważa się tu rodziny znanych wojowników oraz ich samych. Także moja osoba jest tutaj podziwiana za swoje dotychczasowe dokonania i tym chętniej witana w każdej osadzie, mimo że osobiście przyczyniłam się w poprzedniej wojnie do śmierci wielu tutejszych wojów. Ale bynajmniej nikt nie daje mi poznać, aby miał do mnie o to żal. Zamiast tego słyszę, że wygrywa i przeżywa ten, po którego stronie jest siła, a dodatkowo łaska Bogów.

Przyjmuję te słowa ze spokojem, podobnie jak reszta moich ścisłych kompanów, z którymi podążam aż od cesarstwa Terraticos. Zauważam jednak, iż w większości stronią oni od tutejszych ludzi. Szczególnie Exon z Kalillą mocno się izolują i cały wolny czas spędzają jedynie sami ze sobą.

Również Ravel czuje się nieswojo, bo jego skośne oczy zdradzają skąd naprawdę pochodzi, czyli z wrogiego obecnie chanatu Precis. Natomiast Viria chodzi niezmiennie z przywdzianym kapturem tak, aby nikt jej nie rozpoznał. Wyznaje nam wprost, że obawia się, iż w akcie zemsty za jej stare grzechy ponownie zostanie uwięziona i oddana w niewolę. Choć muszę przyznać, że nieco otwartości z naszej drużyny wykazują przynajmniej Adora i Gabu. Dziewczyna z Saladior, w widocznej już ciąży, handluje z tubylcami posiadany przez nas majątkiem, nieustannie go pomnażając. Z kolei Gabu gromadzi wokół siebie ciekawskie osoby, głównie dzieci i raczy je niezwykłymi opowieściami, również naszymi dotychczasowymi przygodami z Otchłani.

Aż w końcu przekraczamy granice konfederacji i przybywamy na wrogie terytorium chanatu, które znaczą wielkie połacie porośniętych jałową trawą stepów. Gdzieś dalej na południe zaczynają się podobno całkiem pustynne obszary.

My z kolei, za moim rozkazem, próbujemy się przebić przez otwarty teren do wielkiej oazy chanatu z leżącym tam miastem Saagol. Czynimy to, aby dołączyć do oblężenia, które prowadzi obecny marszałek konfederatów, jarl Kamienny Tors.

Chociaż muszę przyznać, że mój ruch związany z opuszczeniem linii gór i lasów w konfederacji nie jest ani roztropny, ani bezpieczny. Lecz już zaczęłam wierzyć, że na wojnie szczęście nieustannie mi sprzyja i prowadzi od wygranej do kolejnego zwycięstwa. Ponadto mój oddział jest już znaczącą siłą, gdzie posiadam nawet potężną piechotę z zakonu Gragezona. Czego więc miałabym się lękać?

Szybko się przekonuję, że niesprzyjającego terenu względem konnych jednostek przeciwnika oraz innych zakonników w szeregach wroga. Mianowicie Zakonu Lancy Czarnego Orła pod wezwaniem Boga świętości i walki Biramond.

– Tak, to oni, na gniewnego, świętego Biramond, to oni... – zaklina się raptem blady jak ściana Ravel, wskazując dłonią horyzont, gdzie równą ławą ustawia się około trzydziestu jeźdźców. Z tej odległości nie wiele widzę, dlatego muszę się zdać na trwożliwy opis mężczyzny z Precis u mego boku. Ten pojękuje: – Rumaki zakute w stal oraz jeźdźcy dosiadający

ich w ciężkich, czarnych zbrojach. Ich hełmy znaczą rogi, a serca bezwzględność i okrucieństwo. Zaś za oręż służą im śmiertelne lance, którymi dosięgają wrogów na znaczą odległość. Z bliska natomiast ogłuszają ciężkimi buławami, by potem torturować lub sprzedać pojmanyh. I obawiam się, że nie mamy przed nimi odwrotu... – Ravel rozgląda się strachliwie naokoło. W tym momencie zza pleców Zakonników Lancy Czarnego Orła rozlewają się na prawo i lewo dwie inne chmury jeźdźców. A już po chwili kompletnie przybity partner Viri wyjaśnia: – To lekka konnica chanatu Precis, doborowi łucznicy konni, którzy zaraz zasnują niebo nad nami chmurami strzał, słowem jesteśmy zgubieni...

Sama mimo wszystko nie tracę hartu ducha i dochodzę do wniosku, że nasz wróg nie jest wiele liczniejszy od nas. Skoro tak, to pozostaje posłużyć się przeciw niemu odpowiednią taktyką. To ona musi nam przynieść zwycięstwo. Dlatego nawracam rumaka i w pośpiechu gestykuluję do Adory, wydając kolejne rozkazy.

Ustawiam frontem trzydziestu kuszników, a tuż za nimi tworzę ścianę z dwóch dziesiątek pionowo ustawionych tarcz toporników z Favera. Po bokach, dla osłony, lokuję po pięciu pieszych wojowników Topora Zielonego Niedźwiedzia. W centrum pozostaję konno z Ravelem oraz Kalillą i Exonem. W odwodzie zostawiam Adorę, Gabu i Virię. Domyślam się, że nie unikniemy sporych strat w ludziach, więc najbliższym kompanom staram się zapewnić możliwe bezpieczeństwo.

Moje jednostki przyjmują wyznaczony szyk, a na nasze skrzydła nadciąga po mniej więcej dwudziestu łuczników konnych z każdej strony. Kusznicy biorą ich na cel, a wówczas wojownicy z chanatu gwałtownie skręcają, oddalając się na prawe i lewe flanki. Ścigające ich wystrzelone bełty, powalają zaledwie dwa rumaki, a nakładanie następnych pocisków na ciężki kusz trochę potrwa. W tym czasie wroży łucznicy z flank zasypują nas strzałami. Większość zakończonych grotami drzewców trafia we wzniesione dla ochrony tarcze, ale pada także kilku postrzelonych kuszników. Z kolei lekka konnica wroga przedziera się aż na nasze tyły i tym razem szyje z łuków w plecy toporników. Ci, zanim bez rozkazu wykonają nawrót, padają martwi i ranni jeden za drugim.

Sama zdaję sobie nagle sprawę, że z łatwością zostajemy wzięci w kleszcze. I kiedy Zakon Lancy Czarnego Orła rozpoczyna frontalną, miażdżącą szarżę, z przerażeniem dociera do mnie, iż będzie to nasz prawdziwy pogrom.

Uświadamiając sobie tę tragiczną prawdę, zastygam jak sparaliżowana i nie jestem w stanie wykonać żadnego gestu, aby błyskotliwym rozkazem jakoś odmienić nadciągający kataklizm. Siedzę tak na koniu, niczym posąg wśród świszczących wokół mnie strzał, a moi kompani spogląda na mnie, jak na ostatnią deskę ratunku, swoją wybawicielkę. Jednak nie jestem nią, nie tym razem.

Wtem od frontu uderza lancami niezwyciężona, ciężka konnica zakonu. Kuszownicy zostają dosłownie wgnieceni podkutymi kopytami rumaków w podłoże, a topornicy wystrzeleni w powietrze za pomocą długich lanc. Od tego momentu rozpoczyna się rzeź z najbliższej odległości, gdzie dzielny opór stawiają jedynie moi kompani i zakonnicy Gragezona. Sama ciągle nie reaguję, nie walczę, tylko obserwuję tę bitwę, niczym ziszczający się senny koszmar.

Adora rozpaczliwie nakłada bełt na mechanizm kuszy, a osłania ją Gabu z halabardą. Zamaszystym ciosem wysadza on wrogiego zakonnika z siodła. Ale mój olbrzym nagle pada na kolana, a w jego plecach dostrzegam dwie wbite strzały.

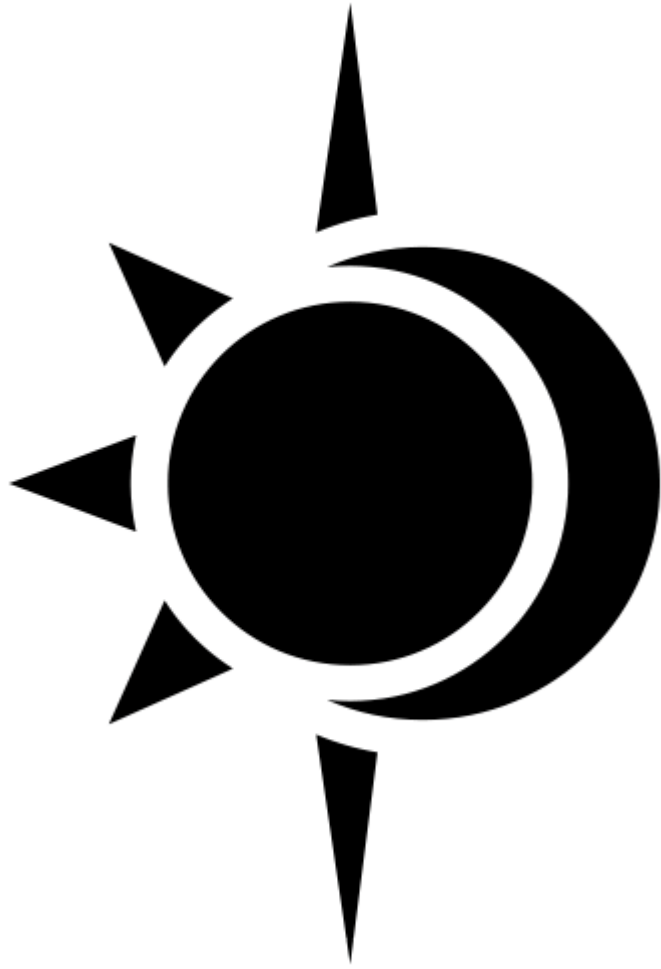
Exon spada z konia po uderzeniu lancy. Lecz wstaje i trafia mieczem w opancerzony tułów szarżującego na niego rumaka. Niestety tym ciosem nie czyni mu krzywdy, a sam otrzymuje buławą ranę w pierś. Pada na bok i łapie się rękoma za tors.

Siedząca na koniu Kalilla dźga włócznią wprost w końskie oko. Okaleczony rumak zakonny staje dęba, przebijając przednimi nogami w powietrzu, po czym spadając na ziemię, kopytem uderza kobietę z Razzinal w głowę.

Viria miota się pomiędzy końskimi cielskami opancerzonych rumaków, zamaszyście uderzając toporem. Jednakże jej ruchy wydają się daremne. A zaraz porywa ją do góry Ravel. Sadza na swego wierzchowca i stara się wyprowadzić z ognia walki. Lecz w niespełna chwilę ich rumak otrzymuje

kilka strzał w masywny tułów i ryje łbem w ziemi, zrzucając z siebie jeźdźców.

I raptem sama czuję potężne uderzenie w tył głowy, po którym zsuwam się z konia i w swe ramiona bierze mnie bezdenna, czarna otchłań. Wręcz czuję na sobie jej dłonie niczym zwodnicze macki chwytającej mnie śmierci. A jednak przeżyję – muszę.



VII. CHANAT PRECIS

Budzę się z potwornym bólem głowy, tak silnym, jakiego nigdy jeszcze nie uświadczylałam. Chcę dotknąć mej potylicy, która wydaje mi się dosłownie strzaskana, ale uniemożliwiają to kajdany na rękach. Także nogi mam skute, a przełykając ślinę, napotykam opór w postaci żelaznej obręczy na szyi.

Otwieram oczy i orientuję się, że na jedno z nich prawie nic nie widzę. Drugim dostrzegam ciemną celę, niewielką i zakratowaną. Rozchodzi się tu ciężki zapach stęchlizny, poza tym panuje absolutna cisza. Nie mam też już na sobie stroju gladiatrix, a jedynie przepaskę biodrową.

Moje położenie wydaje się zatem rozpaczliwe, ale jeszcze gorsze są wspomnienia niedawnej, przegranej bitwy. To była prawdziwa klęska, a oczyma wyobraźni wciąż widzę padających od ran moich kompanów. Ilu z nich przeżyło i podzieliło mój los więźniarki? Nie wiem tego. I nie wiem również, czy powinnam im życzyć takiego losu, jaki staje się moim udziałem.

Cokolwiek bowiem dalej się stanie, nie spodziewam się niczego dobrego. Najbardziej zaś obawiam się mej sprzedaży z powrotem do Terraticos. Ponieważ jako zbiegła gladiatrix znów trafię na arenę, ale tym razem po raz ostatni, aby rozszalały tłum był świadkiem mej bolesnej kaźni. Bestialskich tortur i odzierania z ludzkiego wyglądu od świtu aż do zmierzchu.

Snuję takie rozważania, aż w pewnym momencie słyszę odgłosy powoli przybliżających się kroków. Zastygam w oczekiwaniu i niebawem za kratami ukazuje mi się postać więziennego strażnika i klucznika zarazem. Domyślałam się tego po pękatym wianuszkach kluczy przy grubym i czarnym, skórzanym pasie mężczyzny.

Przybyły osobnik posiada gęstą, czarną brodę oraz wąsy, a także kędzierzawe włosy w tym samym kolorze i niesie ze sobą gliniany dzban, z którego co raz popija. Gdy zaważa, że jestem przytomna, zatrzymuje się przy oddzielających nas kratkach i na chwilę ozdabia swoją twarz drwiącym uśmiechem. Następnie unosi dzban i przechyla do tego stopnia, że wewnątrz mej celi zalewa bordowa ciecz.

Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, jak wielkie dręczy mnie pragnienie. Gana nim porywam się do spadającego strumienia i otwieram pod nim szeroko usta. To wino, które rozbryzguje mi się na twarz, również o moje zęby i brodę, ale jego część szczęśliwie wlewa mi się do gardła, zaspokajając tak silne łaknienie płynu.

– Dla ciebie wystarczy... – oznajmia naraz mężczyzna i sam wychyla dzban do samego dna. Ja sama składam razem dłonie w podzięce. – Nie ma za co... – odpowiada obojętnie strażnik. Pewien czas przygląda mi się bez wyrazu, po czym flegmatycznie oznajmia: – Spokojnie... nie dane ci tu będzie umrzeć z powodu głodu czy pragnienia. Nie będziesz też torturowana ani nikt cię nie zgwałci... Po prostu odsiedzisz swoje, aż ktoś raczy wykupić cię za rozsądną cenę, to wszystko...

– „A moi kompani? Oni również tu przebywają”? – zapytuję, choć z powodu kajdan na dłoniach czynię to nader nieudolnie. Na co strażnik na odchodne rzuca tylko przez ramię:

– Odpoczywaj i ciesz się, że przeżyłaś...

Mija czas. Z powodu braku okien na świat nie wiem jak długi, ponieważ dni mieszają mi się z nocami. Jestem tu przyzwoicie traktowana i rzeczywiście orientuję się, że nie dane mi tu będzie zdechnąć, jak psu. Z czasem też schodzi mi opuchlizna z głowy i odzyskuję wzrok na niedowidzące oko. Aż pewnego razu drzwi do celi zostają otwarte i znany mi strażnik kładzie przede mną strój gladiatrix, leniwie oświadczając:

– Weź to i idź do łaźni się umyć. Koniec odsiadki...

– „Kto mnie wykupił”?

– Nie rozumiem...

– „Dokąd teraz trafię”? – gestykułuję, tylko inaczej.

– Nie znam mowy gestów... – Klucznik kręci bezradnie głową. Zdejmuje mi po kolei wszystkie kajdany i odchodzi. Zaś ja, z moim nieodzownym strojem na rękach, kroczę w ślad za nim.

Po długiej, niezwykle kojącej kąpieli w ciepłej wodzie, czuję się niemal jak nowo narodzona. Ubrana i odświeżona stawiam się u wyjścia z nieznanego mi warowni. Napotykam tu niezmiernie poławie pustynnego piasku oraz obcą osobę, która strojem przypomina kogoś z księstwa Razzinal. Mężczyzna ten przedstawia się jako zaufany samego bojara Alexego, który przesyła pozdrowienia, sowity okup za moją osobę oraz pewien podarek. A jest nim rumak z przytroczonymi do siodła torbami, gdzie ponoć znajdę też nieco kosztowności.

Słyszając te wyjaśnienia, z zadowoleniem kiwam głową i naraz niezwykle ciepło wspominam znanego mi bojara. Człowieka, któremu parę razy już pomogłam, a teraz najwyraźniej spłaca on swój dług z nawiązką. Następnie wypytuję wysłannika Alexego o to, jak idzie wojna konfederacji z chanatem, a przede wszystkim czy wie coś na temat losu moich najbliższych kompanów. I o ile na temat toczącego się konfliktu jest mi przekazane po prostu tyle, że dobiegł już końca, to wieści na temat moich przyjaciół są całkiem krzepiące. Mianowicie słyszę, iż Viria oraz Ravel przeżyli i znajdują się w tym samym więzieniu, gdzie sama przebywałam, tylko na niższym poziomie, na którym królują szczury.

Nie mija wiele czasu, a za otrzymane od Alexego kosztowności wykupuję Ravela oraz Virię. Ci są niesamowicie wręcz zabiedzeni, wychudzeni i w podartych łachmanach. Zaś na mój widok wybawicielki w stroju gladiatrix, padają przede mną na kolana i całują me stopy. Pozwalam im to czynić tak długo, aż się opamiętają. Potem wyruszamy wspólnie do stolicy chanatu Precis z zamiarem złożenia wizyty samemu wielkiemu chanowi.

Co prawda w jego władztwie nie zasłynęłam zapewne jako wielka wojowniczką i raczej trudno się temu dziwić. Ale do stolicy nie zamierzam przyjechać sama. Za posiadane obecnie środki stać mnie na wynajęcie dziesięciu łuczników konnych. A jako dowódczyni kompanii najemników przynajmniej dowiodłam już swej lojalności, sumiennie wypełniając kontrakty zawarte z dwoma władcami. Co więcej, po ostatniej potyczce nauczyłam się też nieco pokory.

Tamroszach to stare miasto chanatu Precis założone w życiodajnej oazie położonej w samym sercu wielkiej pustyni. Po drodze do tego miejsca przemierzam w skwarze całe morza złocistego piasku: całkiem równinne, płaskie, przywodzące na myśl spokojne wody, to znowu przekraczam wyniosłe, piaskowe hałdy, niczym wzburzony, piaszczysty ocean.

Lecz w końcu docieram właśnie tu, do stolicy. Mijani ludzie prezentują na sobie luźne, wielobarwne stroje, a ich krągłe twarze z szerokimi kośćmi policzkowymi znaczą skośne oczy. Zauważam, że mieszkańcy często ozdabiają swe wizerunki tatuażami oraz noszą biżuterię z wielobarwnych koralu i splecionych misternie włókien.

Zabudowa jest tu niska, a domy w dużej mierze gliniane i w kształcie prostokątów. Na ich płaskich dachach rosną palmy i krzewy owocowe. Zaś wszystko, co napotkam, rozciąga się pod nagim błękitnym niebem oraz zatopione jest w złocistym słońcu. Z kolei pod stopami nieustannie mam drobny piasek.

Wąskimi, tłocznymi ulicami docieram do pałacu władcy i przedstawiam strażnikom przy bramie cel mojej wizyty. Od tego wydarzenia spędzam w oczekiwaniu na audiencję u wielkiego chana szereg kolejnych dni i niestety bez pożądanego rezultatu.

Ten czas umilam sobie, dostępując gościny u jednego z mieszkańców miasta. Płacę za miejsce do zamieszkania dla mnie oraz moich kompanów, choć kosztowności mam już na wyczerpaniu. W zamian jestem obficie raczona tutejszymi specjami jak pieczonymi na ruszcie jaszczurkami, czy deserami z figowego ciasta. Także jest mi dane zaznać niezwykłych doznań po użyczeniu fajki wodnej.

Aż do Tamroszach, niczym piaskowa burza, dociera złowroga wieść, że królestwo Saladior wypowiada wojnę chanatowi Precis. I jak to zwykle na kontynencie Pendorum powód kolejnego konfliktu jest prozaiczny – chęć odzyskania jakiejś podupadłej wioski z poprzedniego konfliktu. Lecz po tych wieściach niebawem zostaję wezwana przed oblicze samego wielkiego chana. Rozumiem, nagle bowiem mogę stać się przydatna.

W moim tradycyjnym stroju gladiatrix prowadzona jestem przez zdobne korytarze, gdzie zarówno podłogę, ściany, jak i sufit zdobią wielobarwne

tkaniny. Przed drzwiami do pomieszczenia, gdzie przebywa władca, zostaje rozbrojona i samotnie wpuszczona do środka.

Zaskoczona zauważam, że przyjmowana jestem w komnacie przypominającej wyjątkową łaźnię. Wokół, pod ścianami, usytuowane są donice z palmami, których obszerne liście zwisają nad położonym w centrum, kolistym basenem. Woda musi być w nim wyjątkowo ciepła, ponieważ w górę unoszą się kłęby pary. Ale to nie koniec atrakcji w tej niezwyklej sali. Jedna ze ścian jest przeszklona zdobnym, kolorowym witrażem, przez który wpada rozproszone światło. W środku tlą się kadzidła na zawieszonych u sufitu koszach. Aromat z nich dobywa się doprawdy niezwykle i to do tego stopnia, że w mgnieniu oka jestem wręcz odurzona. Przeto dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że zażywający wodnej kąpieli mężczyzna w basenie czyni ku mnie zachęcające gesty, abym towarzyszyła mu w wodnej toni.

Nigdy nie należałam do osób specjalnie wstydliwych, a ostatnio chyba w ogóle pozbyłam się tej przypadłości. Dlatego zaraz jestem już naga w wodzie i zanurzam się w niej całkowicie, po czym podpływam do wielkiego chana.

Ten uśmiecha się do mnie ujmująco, a ja przyglądam mu się bliżej. Jest dość młody z dokładnie wygoloną twarzą, a włosy ma mokre, czarne, średniej długości i zaczesane do tyłu. Sylwetkę posiada męską i harmonijną, do tego ma w sobie coś jakby z dostojnego pawia. Muszę przyznać, że jego atrakcyjny wygląd zdecydowanie może kusić kobiety.

Ten władca jest zresztą jak najbardziej świadom swej urody oraz pozycji, bowiem wciąż nie wypowiada do mnie żadnego słowa, nie czyni gestu, za to naraz długo i namiętnie całuje w usta. Jestem zaskoczona, ale tylko w pierwszym momencie. Następnie zdaję sobie sprawę, że absolutnie nic nie stoi na przeszkodzie, abym wzbraniała się zarówno przed tym pocałunkiem, jak i dalszymi, śmiałyymi krokami.

I kochamy się razem w basenie, zupełnie jakbyśmy od dawna byli sobie kochankami. Przy czym wielki chan okazuje się kochankiem naprawdę wyjątkowym, mężczyzną wręcz stworzonym do cielesnej miłości. Z łatwością odgaduje on me wszystkie pragnienia i spełnia je ku zadowoleniu nas obojga. Obdarzona zostaję doprawdy niezwyklej dozą przyjemności.

Trwa ona, nie wiem jak długo, bo w upojeniu tracę poczucie czasu. A gdy nasza miłość dobiega kresu, wielki chan, z ujmującym uśmiechem na ustach, jak gdyby nigdy nic wskazuje mi, abym wyszła w wody.

Staję więc na suchym parkiecie pokrytym zdobną ceramiką, a mężczyzna pokazuje na stolik w rogu komnaty. Zauważam tam już podpisany przez władcę kontrakt. Stąd wniosek, że jeszcze zanim przestąpiłam próg tego pomieszczenia, już zostałam najemnikiem chanatu.

Ze szczerym uśmiechem na ustach, ubrana oraz z kontraktem w dłoni opuszczam salę i w tym momencie moje zadowolenie nagle niknie, zupełnie niczym gwałtownie zgaszony płomień świecy. Oglądam się do tyłu na zamknięte już drzwi, za którymi znajduje się mężczyzna, mój były kochanek. I uświadamiam sobie, że obdarzając go cielesną miłością właśnie go zabijam.

Przez chwilę czuję swego rodzaju pomieszanie i głupio szczerzę się sama do siebie. Ale zaraz zdecydowanie potrząsam głową, ponieważ nie czas na wątpliwości. Nigdy nie jest na nie odpowiednia pora. „Kto się waha, ten ginie marnie” – wspominam znamienne słowa świątłego Etosa. Przeto ściskam w garści mój kontrakt i żwawym krokiem opuszczam pałac chana.

Jednakże zanim wyjadę ze stolicy, wybieram się jeszcze do pobliskiej siedziby Zakonu Lancy Czarnego Orła pod wezwaniem Boga świętości i walki, Biramond. Muszę przyznać, że istnieje we mnie jakaś niezrozumiała fascynacja zakonami i naprawdę rozważam akces do jednego z nich. Z jednej strony reprezentują one militarną siłę, o której mocy nie raz zdołałam się już przekonać. Ale ponadto zauważam w strukturze zakonów pewien intrygujący mnie dualizm, ścierające się w nich przeciwności. Z jednej strony pragnienie służby świątłym ideałom, a z drugiej tendencję do przynajmniej pozornego sprzeniewierzenia się tym zasadom.

Widziałam to dla przykładu w postępowaniu znanej mi Hamri, która w cielesnej miłości z Virią łamała przykazanie czystości. Jednak czy było to tylko niewłaściwe zachowanie, łamanie zasad, czy też naprawdę grzeszne działanie, godne potępienia oraz surowej kary? Nie, nie powiedziałabym tego, nie czułam, że było to z gruntu złe. Samo w sobie wydawało mi się po

prostu neutralne. Oto spotkały się ze sobą dwie osoby i dały sobie nawzajem przyjemność, to wszystko.

– „Pragę zobaczyć się z wielkim mistrzem Zakonu Lancy Czarnego Orła” – gestykuluję przed bramą wiodącą do siedziby wymienionego zakonu. Lecz dwaj strażnicy w czarnych zbrojach i rogatych hełmach w ogóle nie reagują. Dlatego czynię gesty inaczej, oświadczając: – „Nie rozumiecie mnie? Jeżeli nie, to sprowadzę tłumacza”.

– Odczytujemy mowę ciała tego czegoś, co się do nas zwraca – odpowiada wyjątkowo wzgardliwie jeden ze strażników.

– „To coś”? – zapytuję zaskoczona. Zaś mężczyzna wskazuje na mój tatuaż na udzie i stwierdza:

– Błuźnisz światu swoim istnieniem. Nie masz prawa boskości, aby nosić na swej plugawej skórze znamię mitycznej Anrei.

– „A gdybym nią była”? – odpowiadam wyzywająco.

– Wówczas wezwałabyś na pomoc swe boskie dziecię, wielkiego Biramond pod postacią orła i święci wojownicy zakonu nie pokonaliby z taką łatwością tego czegoś, czym naprawdę jesteś.

– „Więc to jedyny dowód, pokonanie w walce mojej osoby”?

– Tak... – wyrzuca z siebie chrapliwie strażnik. – Bo choć mityczna Anrea przegrywa swą walkę od wieków to, gdyby spotkali ją święci wojownicy świętego Biramond, on sam nie dałby im skrzywdzić swej matki. Ochroniłby ją skrzydłami bądź porwał w swe szpony i uniósł daleko w przestworza. A jak wiesz, z tym czymś, co sobą reprezentujesz, obeszlśmy się inaczej.

– „Ale przecież przeżyłam, więc co, jeżeli się mylicie”?

– W świętości nasza siła, nie zaś nieomyślności. Dla nas sprawa się rozstrzygnęła. Niech więc odejdzie od bram zakonu to coś, czemu i tak nie damy przekroczyć świętego progu.

Nie mogę już nawet zaprezentować pierścienia Zana, który tracę wraz z innymi przedmiotami po moim uwięzieniu. Dlatego odchodzę, skoro jedyne, co mogę tu uzyskać to słowa lekceważenia i wzgardy. Natomiast podążając do mojej kompanii, w głowie ponownie wirują mi słowa sławetnego Etosa: – „Zguba pokonanym, nawet jeżeli są wzniośli i prawi”.

Zapewne nie jestem prawa, raczej także niezbyt wzniosła. Ale utwierdzam się w przekonaniu, że muszę być jeszcze bardziej bezwzględna, bowiem na kolejną porażkę za nic nie mogę sobie pozwolić. Tak, cokolwiek by się wydarzyło, nikt więcej nie może mnie już nigdy pokonać.

*

– „Naprzód”! – gestykułuję energicznie uniesionym mieczem i wskazuję nim wioskę z pogranicza należącą do królestwa Saladior. Następnie w sile obecnie już kilkudziesięciu konnych gnamy z niewielkiego wzniesienia wprost pomiędzy drewniane zabudowania.

Najemni łucznicy konni z chanatu wystrzeliwiają płonące strzały, kierując je na słomiane okrycia dachów. Ravel z Virią zabijają kilku bardziej krewkich wieśniaków, po czym zeskakują z rumaków i rzucają się do wnętrza domostw w poszukiwaniu łupów. Sama bacznie lustruję okolicę, a dostrzegam głównie żalosny lament padających na kolana dzieci i kobiet.

Tak, wiem to, powinnam być ich wybawczynią, ale w drodze do ostatecznego celu staję się prawdziwym przekleństwem. To kolejna już wioska, którą najeżdżam i bezwzględnie łupię. Zabieram żywności i cokolwiek, co przedstawia sobą większą wartość, a w zamian zostawiam jedynie śmierć i pożogę. Dzięki temu zyskuję złą sławę, lecz ona sama oraz przejmowane bogactwo, sprawiają, że w moje szeregi ciągnie coraz więcej najemnych ochotników, choć głównie szumowin. Osobiście przyjmuję każdego, kto bezwzględnie się podporządkuje moim rozkazom, ma ze sobą gotową do użycia broń oraz rączego rumaka. Na ten czas nie czynię żadnego zaciągu piechoty, dzięki temu przemieszczam się z moją kompanią błyskawicznie i niepostrzeżenie. Spadam na kolejne osady niczym upiorny, orli cień. I żadna wieś nie umknie moim szponom.

Niebawem nie wystarcza mi już palenie i rabowanie włości obecnych wrogów z królestwa Saladior. Dlatego odważnie zapuszczam się dalej na królewskie ziemie, a ściślej szlaki handlowe na drodze do księstwa Razzinal.

I oto Ravel oraz Viria, w tej chwili dwoje moich najwierniejszych kompanów, którzy w zbójczej kampanii czują się jak ryby w wodzie, przynoszą mi oczekiwane przeze mnie wieści. Karawana z Saladior została

skutecznie zlokalizowana i zmierza traktem pomiędzy wzgórzami, aż się prosząc, aby ją napaść i obrabować.

Wydaję więc rozkazy najemnikom, bezwzględny oprawcom, i zajmujemy w ukryciu pozycje na okolicznych wzniesieniach. Spoglądam na stojących koło mnie konno Virię oraz Ravela, jak iskrzą im się wręcz oczy od chęci grabieży i mordu. Tacy są, zawsze byli, zrodzeni z tego świata i własnych skłonności – myślę, po czym daję znak do ataku po łatwe zwycięstwo.

Szarżujemy z dwóch przeciwległych wzgórz na sznur wozów w dolinie. Jesteśmy niczym konna lawina spadająca na płynącą w dole kupiecką rzekę. Lecz zanim nasze rumaki wpadną pomiędzy handlowy kondukt, zasypujemy go chmurą strzał. Właściwie to postępującymi po sobie salwami jak przemykającymi po niebie ciemnymi obłokami.

Wozy stają w miejscu, a my, kiedy do nich docieramy, dobywamy białej broni i bynajmniej nie bierzemy jeńców. Walka jest jednostronna i szybko prawie dobiega kresu. Sama zabijam kilku przestraszonych włóczników ze straży, czyniąc to niemal od niechcena.

Aż naraz mym oczom ukazuje się olbrzym, który skutecznie trzyma łuczników konnych na dystans, odganiając się od nich długą halabardą. Ci otaczają go i gotują się do zasypania deszczem strzał. Lecz w chwilę jestem już przy nich i czynię zdecydowane gesty, by się wstrzymali.

– A... Anrea...? – Gabu w osobie olbrzyma z halabardą spogląda na mnie z niedowierzaniem. A zaraz z jednego z wozów wypełza również Adora i podbiega do swego partnera. Gdy ją ostatnio widziałam, była nieco zaokrąglona na brzucha. Teraz zaś jest już w zaawansowanej ciąży.

Daję moim ludziom znak, aby zabezpieczyli teren i nie dali się nikomu wymknąć z potrzasku, jak również szybko zebrali łupy. Sama wskazuję Gabu oraz Adorze ustronne miejsce z boku z dala od trupów i wozów, gdzie pragnę się z nimi rozmówić.

Docieramy na niewielką, zieloną polanę w pobliżu, a dołączają do nas równie zaskoczeni, co my, Viria z Ravelem. I pierwszy z wyraźnym wyrzutem odzywa się ten ostatni:

– Witamy szanownych znajomych ze znamienitej szkoły Artusa... I zapytujemy... Jakim to cudem zawdzięczamy to niecodzienne spotkanie,

hę...? Kto was niby wykupił na wolność po bitwie z chanatem...?

– Sami... Sami się wykupiliśmy... – odpowiada z miną zbitego psa Gabu. Ja zaś uśmiecham się lekko, myśląc, mój kochany Gabu. Jednak Ravel bynajmniej nie odpuszcza:

– Wykupiliście się? A skąd niby mieliście kosztowności, co?!

– Adora... Adora ukryła wcześniej skrzynię z cennymi przedmiotami na terenie konfederacji...

– Ooo... – Do głosu dochodzi Viria. – Jakże to ciekawe. Dlaczego zatem zapłaciliście za wolność tylko siebie samych, co...?

– Cóż... – Gabu nerwowo miętosi rąbek swojej płóciennej, szarej koszuli. – Okazało się, że stać nas jedynie na uwolnienie czwórki osób... Zaś Anrea, jako przywódczyni i tak była za droga... Więc...

– Więc?! – wydziera się kobieta z Favers.

– Zdecydowaliśmy się wykupić samych siebie, a do tego...

– Tak?!

– Exona oraz Kalillę...

Po tym wyznaniu na nalaną twarz Gabu spada otwarta dłoń Viri. Z kolei jej partner z pianą na ustach krzyczy:

– A czemu to nas nie uwolniliście, co?! Wiecie, co przeszliśmy w lochach chanatu? Nie było nam tam tak milutko, jak Anrei! Żarliśmy żywe szczury, które nas samych podgryzały i zagryzaliśmy ścierwa zgniłą słomą! Cud, że żyjemy! – Tym razem to Ravel zamierza się, aby uderzyć Gabu. Ale łapię jego rękę i spoglądam zdenerwowanemu mężczyźnie surowo w oczy. Po chwili daje on za wygraną. Podobnie Viria bierze na wodze emocje i cofa się o krok. A zaraz, spoglądając na wypukły brzuch Adory, drwiąco się do niej zwraca:

– Na wyprawkę dla dziecka też coś sobie zostawiliście...? I może to dlatego na nas już nie wystarczyło, co...? I pomyśleć, że kiedyś nastawiałam własne plecy na bicz Pajosa za takich niewdzięcznych śmieci, jak wy...

– „Przestań” – gestykuuję do Viri. – „Przestań” – ponawiam żądanie i dla odmiany sama lekko uderzam ją w twarz. W odpowiedzi kobieta z

Favers pokazuje mi gniewnie obnażony kieł, ale potem pokorniej, wszem i wobec oznajmiając:

– To Anrea nas uratowała i to już nie wiem, który raz, przestałam liczyć. Jednak to właśnie jej z Ravelem winni jesteśmy wszystko, co mamy, a zatem także nasze posłuszeństwo i życie... – Spogląda wymownie na partnera i razem lekko mi się kłaniają. Kładę im dłonie na głowach na znak zgody, po czym gestykuluje do Adory:

– „Co wam wiadomo na temat dalszego losu Exona oraz Kalilli”?

Przestraszona dziewczyna z Saladior patrzy chwilę na Gabu, jakby z pewną niepewnością, ale zaraz zdecydowanie oświadcza:

– Po ich uwolnieniu udali się wspólnie do królestwa Saladior. Ostatnie wieści od nich mamy takie, że wstąpili na służbę do króla i są w jego osobistej gwardii.

– Czyli to teraz nasi wrogowie... – Ravel spluwa pod nogi Adory.

– „To się okaże” – czynię gesty i zadaję ciężarnej dziewczynie jeszcze jedno pytanie: – „Ty i Gabu jesteście wolnymi ludźmi, nie macie wobec mnie długu i możecie podążyć w swoją stronę. Jednakże chętnie widziałabym was znowu w mojej drużynie. Zetem”?

– Ale... – Adora obejmuje swój obfity brzuch i z pewnym bólem spogląda w kierunku zdewastowanych wozów karawany: – Mamy do was przystąpić, aby... grabić, jak bandyci...?

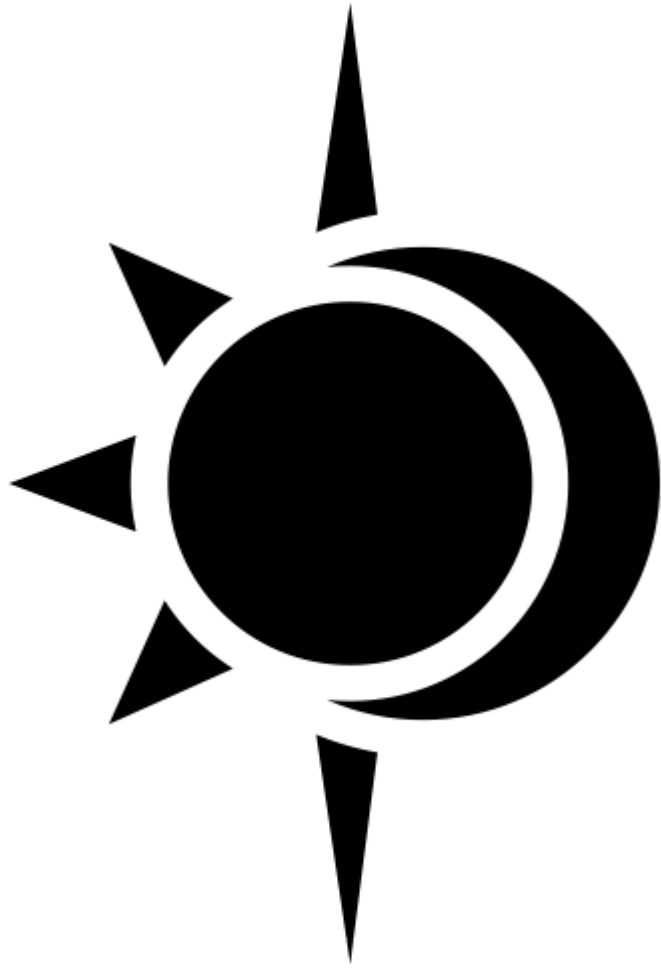
– „Nie, to już skończone” – czynię gesty i naprawdę wierzę w swój przekaz. – „Zdobyłam już dość bogactwa, aby w razie następnej niewoli bez problemu wykupić każdego z nas. Teraz powrócimy na drogę prawości i odkupienia. Pokażemy, że potrafimy walczyć honorowo, będąc w tym niezłomnymi. W końcu jako mityczna Anrea mam zjednoczyć i zbudować lepszy świat, czyż nie”?

– Uśmiecham się nieco kwaśno, mając w pamięci moje ostatnie niezbyt chwalebne dokonania. Lecz obecność Gabu i Adory naprawdę tchnie we mnie nowe postanowienie. Nagle szczerze pragnę zakończyć w mym życiu zbrodniczy epizod.

– W takim razie cieszę się i... jesteśmy z tobą... – stwierdza pogodnie Adora.

– W jakim, jakim razie...? – dopytuje naraz nerwowo Ravel, który nie zrozumie mojego dość długiego, jak na mnie wywodu. Dziewczyna z Saladior tłumaczy mu moje gesty. Wtedy mężczyzna z chanatu ostentacyjnie uderza się otwartą dłonią w twarz. Przekazuje on nowiny Viri i widzę, że ta skłonna jest się niemal popłakać.

Jednakże ja tylko uśmiecham się na ten widok i myślę, że ta para już dość sobie poharcowała. Teraz zaś postaram się, aby także o ich szlachetności i honorowych czynach śpiewano w przyszłości chwalebne pieśni. Choć zaraz wzruszam tylko bezradnie ramionami, dochodząc do wniosku, że przeciągnięcie ich na stronę prawości to czysta mrzonka. Chociaż nie zmienia to faktu, iż ja, mityczna Anrea, porywając się na niemożliwe, będę mimo wszystko próbować.



VIII. KRÓLESTWO SALADIOR

Z moją kompanią najemników wciąż przebywam w sercu królestwa Saladior – polujemy. Lecz tym razem nie na bezbronne wioski czy niemal równie kiepsko chronione karawany kupieckie. Obecnie mam ambicję zasadzić się na samego króla, a także towarzyszących mu ponoć Kalillę oraz Exona.

Ci ostatni, co uczynią, kiedy się ponownie spotkamy? Nie wiem, jednak posiadam w sobie silną potrzebę, aby doprowadzić do naszej konfrontacji i jednoznacznie rozstrzygnąć sprawę naszej wspólnej przyszłości.

I tak podróżujemy konno od lasu do lasu, celowo unikając otwartych przestrzeni. A gdy musimy je przebyć, czynimy to zwykle niezauważeni na pełnym galopie i pod osłoną nocy. Jednakże udaje się nam to tylko do czasu. Raptem bowiem karty się odwracają i to my jesteśmy zwierzyną łowną.

Zauważyła nas królewski zwiad i o tej pory ściągamy sobie na głowy tropiących nas lordów. Mocno zawziętych, bo żadnych pomsty za moje rabunki na licznych królewskich włościach. Wkrótce zaś sam król Anron podąża w ślad za nami. Momentami mam wręcz wrażenie, że nagle uwzięło się na mnie całe centralne władztwo. Szczególnie kiedy wokół płoną lasy z premedytacją podpalane, by wykurzyć mój oddział z danej kryjówki.

I znowu uciekamy, a czynimy to posuwając się coraz dalej na północny wschód w górzysty teren wprost w objęcia wojowniczych Allarów. Również z tym ludem będę miała zapewne na pieńku po uśmierceniu ich wybrańca mieniącego się mym mitycznym synem.

Tak więc mam do wyboru dwóch przeciwników i już widzę, że nie dane mi będzie ciągle wymykać się obławom. Z kimś niewątpliwie będę musiała się zmierzyć. Więc niech tak się stanie.

Na jednym z niemal pozbawionych drzew, stromych wzgórz stacjonuję na dłużej, aby dać się zauważyć królewskiemu pościgowi. Lecz na widok wystawiam jedynie niespełna jedną trzecią swoich najemników, łudząc się, że tak błahym wybiegiem sprowokuję wroga i w niewielkiej ilości puści on przodem w pogoń najszybsze jednostki.

Jednak ku memu ogromnemu zdziwieniu i uciesze zarazem, tak właśnie się dzieje. Konne oddziały Saladior, tuż po zlokalizowaniu nas na wzgórzu, rzucają się w naszym kierunku galopem. I z prawdziwym niedowierzaniem spoglądam, jak pchają się prosto w zastawioną niezbyt misterną pułapkę.

Pęd królewskich rumaków szybko wytraca impet wraz z coraz bardziej stromym podejściem pod górę. Z kolei moja będąca na widoku konnica nawet nie zamierza się ruszać z miejsca, ciągle stanowiąc atrakcyjny wabik. Oczywiście inne atrakcje skrywam w lasach po dwóch stronach drogi, którą mozolnie ciągną moi przeciwnicy.

Aż w pewnym momencie stwierdzam, że nie ma już dłużej na co czekać i czas z łatwością zerwać słodki owoc zwycięstwa. Ściągam z głowy chustę, rozpuszczając me długie, rude włosy i łopoczę wzorzystym materiałem wysoko w powietrzu.

Z tą chwilą można odnieść wrażenie, jakby to sam las wypuszczał ze swych mrocznych kniei dziesiątki świszczących strzał. Zaś po tej kanonadzie, która odpowiednio dezorientuje i rozmiękcza wroga, następuje szturm mojej lekkiej konnicy. Ta nie szarżuje bezpośrednio na wroga, a z najbliższej odległości raczy go śmiertelnymi strzałami.

Ta nierówna walka trwa tak długo, aż z centrum wojsk wrogich niedobitków powiewa w górze biała flaga. Zatem zwycięstwo jest moje i czas przyjrzeć się ocalałym więźniom. W duchu natomiast modłę się, aby był wśród nich jakiś znaczący lord, za którego wykupię sobie powrotną i bezpieczną drogę do chanatu.

Lecz jakież wielkie jest moje zdziwienie, kiedy się okazuje, że w grupie kłęczących pokornie jeńców odnajduję samego króla Anrona oraz Kalillę i Exona. Pochodzę do tej trójki ciągle niedowierzając i kolejno przyglądam im się, by odgadnąć stan ich ducha.

Władca Saladior to niemal młodzieniec w długich złocistych włosach, przyozdobionych połyskującą na głowie złotą koroną. Rysy ma szlachetne i

dumne, a w jego wizerunku daje się odczytać coś, jakby z samego lwa. Patrząc na niego, można by wręcz zaryzykować tezę, że ktoś o takim wyglądzie musi być prawy i nie może być złą osobą.

Z kolei Kalilla oraz jej partner spoglądają na mnie z dziwnym spokojem, a zaraz nisko mi się kłaniają. Ponownie podnoszą wzrok, a wtedy mój dawny kompan, a przez jakiś czas nawet kochanek, Exon, wypowiada znamienne słowa:

– Bądź pozdrowiona, Anreo, w której dłonie oddajemy zwycięstwo, jak również dar w postaci najszlachetniejszego z jeńców, samego króla Saladior, Anrona. – Patrząc zagadkowo na Exona, marszcząc brwi, a dalszych wyjaśnień udziela Kalilla:

– Wstąpiliśmy na służbę do króla, jako twoi sławni już wojownicy. Ale odkąd znamy twe prawdziwe przeznaczenie, służymy wyłącznie tobie, Anreo. Dlatego, gdy tylko dowiedzieliśmy się, że w wojnie z Saladior z Precis wspierasz wielkiego chana, postanowiliśmy ci skrycie sprzyjać. I oto skłoniliśmy króla do nierozważnego ataku, aby wpadł w twoją pułapkę i znalazł się w twych rękach. Byś to ty, najwyższa, zdecydowała o jego losie.

– Co ja słyszę, ha! Cóż za słodkie pierdzenie! Chyba nikt wam w to nie uwierzy! – parska na te słowa Viria. Podśmiechuje się również Ravel. Jednak zdecydowanie wyciągam ku nim dłoń, by zamilkli i spoważnieli. Znają ten gest mojej reprimendy i w jednej chwili tonują swoją lekceważącą postawę. Sama składam dłonie na głowach Exona oraz Kalilli w geście akceptacji i zachęcam ich żeby wstali. Czynią to, a wówczas gestykuluję do króla:

– „Nie wiń mych ludzi za podstęp względem twojej osoby. Wszak służą mnie, mitycznej Anrei, ty zaś jesteś tylko królem, gościem w mojej krainie Pandorum”.

– Rozumiem mowę gestów... – odzywa się na to dźwięcznie królewski młodzieniec, po czym zafrapowany dodaje: – Ale to, za kogo się podajesz, pani, wybaczn... – Rozkłada bezradnie ramiona i porzuca temat mego prawdziwego pochodzenia, kierując go na swoją własną osobę: – Co ze mną zrobisz, pani...? Wszak w moim królestwie słyniesz z okrucieństwa. Zatem... zabijesz mnie...?

– „Wręcz przeciwnie, Wasza Wysokość, zamierzam cię uwolnić”.

– Że co?! – drze się na to Viria. Ja zaś klepię ja poufale po plecach i kontynuuję:

– „Prawdą jest, że dopuściłam się wielu krzywd na niewinnych mieszkańcach Saladior i w ramach skromnej rekompensaty uwolnię ich władcę. To gest dobrej woli z mojej strony, tak na dobry początek”.

– Ale... weźmy przynajmniej okup... – cedzi przez zęby zbulwersowany Ravel. – Za króla można dostać prawdziwy majątek... W szczególności, jakby tak jego lordom posłać najpierw odcięty, królewski palec...

– Ucho... – sugeruje z nadzieją Viria.

– Nos... – wtóruje w tym samym tonie jej partner.

– „Dość, już podjęłam decyzję” – ucinam dalsze spekulacje na temat okaleczania Anrona, czym wzbudzam kwaśny, aczkolwiek pełen ulgi uśmiech na jego twarzy. Chociaż monarcha nieoczekiwanie optuje za opcją przedstawioną przez Ravela, w każdym razie częściowo, zdecydowanie oświadcza:

– Zgadzam się, że za uwolnienie mej osoby powinna być wyznaczona sowita nagroda. Tak nakazuje honor, inaczej się nie godzi...

Na te słowa patrzę niemal rozbawiona w oczy monarchy i składam mu propozycję:

– „Zatem za okup, który miałby być wypłacony za twoją osobę, Wasza Wysokość, odbuduj wioski, które spaliłam i wypłać stosowne rekompensaty ocalałym mieszkańcom”.

– Szlag by to... – jęczy żałośnie Viria. Z kolei król drapie się po delikatnym podbródku i podsumowuje:

– To doprawdy wielce zaszczytne i doceniam ten gest dobrej woli, zapewniam. Więc niech tak się stanie, ale pod warunkiem, że pewien czas spędzę w twojej niewoli, o pani.

– „A czemuż to”? – Uśmiecham się niemal zalotnie.

– Otóż... Doszły mnie słuchy, że niebawem kończy się twój kontrakt z wielkim chanem, pani, i już nie będziesz zmuszona być na jego usługach... A wtedy...

– „Mam podpisać, Waść, kontrakt z tobą, aby to dla ciebie zabijać...”? – Poszerzam uśmiech.

– Nie, nie do końca... – odpowiada z powagą monarcha. – Kimkolwiek byś nie była naprawdę, nie zmienia to faktu, iż widzę w tobie coś wyjątkowego, niezwykłego. I nie, nie możesz zostać moim najemnikiem, pani. Najemników bowiem nie angażuję, to niehonorowe. Za to szczerze zapragnę...

– „Tak”?

– Pragnę nadać ci, pani, szlachecki tytuł lady Saladior oraz stosowne włości. Tak, moim życzeniem będzie, abyś po wypełnieniu kontraktu z chanatem została niezwłocznie arystokratyczną panią w moim władztwie.

Po tej deklaracji następuje pełna powagi cisza i niknie także mój frywolny grymas na twarzy. Zastanawiam się dłużej nad przedstawioną mi doprawdy niezwykłą propozycją i gestykuuję:

– „Na wszystko, co Wasza Wysokość tu proponujesz, wyrażam stosowną zgodę”.

*

Czemu przyjmuję ofertę, aby zostać wasalem króla Saladior? Gdyby odpowiedź była taka prosta... Jednak przede wszystkim sędzę, że pragnę się sprawdzić. Dotąd w drodze do osiągnięcia celów nieustannie tylko walczę i nie oszukujmy się, niszczę. Ale jak bym się sprawowała, gdybym musiała coś budować i chronić? Ta myśl mnie naprawdę nęci i wkrótce z dumą otrzymuję od króla we władanie jedną z wiosek z pogranicza z cesarstwem Terraticos. I muszę przyznać, iż od początku, od samego aktu nadania, jestem tym zachwycona.

Moje włości nie są zbyt rozległe, ale ziemia jest tutaj niezwykle żyzna, doprawdy wspaniała, wyjątkowa nawet, jak na kontynent Pendorum, nie wspominając o mej rodzimej wiosce. Tutejsi mieszkańcy, po płomiennej przemowie króla wychwalającego me prawdziwe i nieco naciągane przymioty, od początku darzą mnie sympatią oraz należnym szacunkiem i oddaniem.

Sama odwdzięczam się, jak mogę, bezpośrednio uczestnicząc w naprawach budynków mieszkalnych, zagród dla bydła, a nawet

własnoręcznie zajmuję się orką. Tak spędzam pełne pracy dni, a wieczory na wspólnych biesiadach w tutejszej karczmie.

Jej nieodzownymi bywalcami są Viri oraz Ravel, którzy ostatnio zdecydowanie przesadzają z winem i bynajmniej nie kwapią się do pomagania mieszkańcom. Adora zajmuje się kontaktami handlowymi z pobliskimi miastami, aby po dobrej cenie kupowały od nas płody rolne. Gabu uczy tutejsze dzieci w dopiero co zbudowanej przez nas szkole. Natomiast Kalilla i Exon wybierają najbardziej obiecujących mężczyzn i szkolą ich na przyszłych żołnierzy.

Nie mam bowiem wątpliwości, że wojna w okrutnym świecie Pendorum przyjdzie kiedyś także i tutaj, dlatego musimy być na nią gotowi. Obecnie zaś, choć liczebnie trochę zredukowaną, ciągle utrzymuję moją zaciężną kompanię. Tak będzie, dopóki nie uznam, iż sami potrafimy się obronić.

Na szczęście po zakończeniu wojny z chanatem trwa dłuższy okres pokoju i nie sposób nie cieszyć się nim samym oraz życiem. Wszak ten czas jest mi jeszcze znacząco umilany. Otóż moim częstym, a nawet coraz częstszym gościem jest sam król Saladior, Anron.

Właśnie zajeżdża ze swoją gwardią na główny plac wioski. Mieszkańcy kłaniają mu się wpół. On odwzajemnia im uśmiechy i zeskakuje z konia, po czym tradycyjnie podchodzi do mnie. Sama akurat oczyszczam z ziemi narzędzia rolnicze.

– Widzę, że jak zwykle jesteś wielce zajęta, szlachetna pani... – oznajmia nieco zmieszany. Tak jest za każdym razem, kiedy przybywa ponownie.

– „Lubię być zajęta” – Uśmiecham się.

– To się oczywiście chwali... A żeby... docenić twoje starania i wkład w rozwój wioski, postanowiłem ofiarować ci skromny upominek... – Spoglądam na ręce monarchy, ale niczego nie dostrzegam. On z kolei wskazuje na przybyły z nim do wioski wóz, z którego gwardziści właśnie ściągają białą płachtę. I oto ukazuje mi się prawdziwa góra żółtego sera ułożona jak piramida z krągłych części. – Ostatnio wspominałaś, pani, że lubisz ser, więc pomyślałem...

W odpowiedzi spontaniczne obejmuję monarchę brudnymi od ziemi rękoma, po czym całuję w policzek. I już się cieszę na samą myśl, że tego

wieczoru wyprawię w mej wiosce prawdziwe, serowe święto!

A już niebawem jestem na przechadzce z Anronem. Idziemy sami wzdłuż dojrzewających na polu łąnów zbóż, które zaczynają się złocić nabrzmiałymi kłosami. Pogoda nam sprzyja, jest ciepło, słonecznie i wieje lekki wiatr. Rozmawiamy, a im dłużej to czynimy, tym Anron staje się bardziej swobodny i bezpośredni, jak zwykle zresztą.

– Tak, potwierdzam, pani, że wiele o tobie ostatnio się nasłuchałem... – stwierdza władca.

– „A od kogóż to”? – zapytuję.

– Nie zaprzeczę... iż kazałem na dwór sprowadzić wędrownych trubadurów. Oni zaś nie szczędzili ku twej chwale, pani, rozlicznych pieśni...

– „Posłuchałabym” – gestykuuję, czyniąc wręcz zalotną minę, a tak naprawdę drocząc się z lekka.

– Cóż... mój śpiew mógłby zranić twe uszy. A niestety żadnego z wędrowców nie zabrałem ze sobą... – kaja się Anron. – Jednak chętnie powtórzę, co o tobie, pani, raczą prawić...

– „Zatem”? – Uśmiecham się wręcz nieśmiało. Na co król robi naprawdę poważną minę i oświadcza:

– Zasłyszałem, iż zwycięsko walczyłaś na arenach cesarstwa, gdzie własnymi rękoma miażdżyłaś w morderczym uścisku całe zastępy krwiożerczych xeratoksów. Natomiast posyłanych przeciw tobie gladiatorów swymi mieczami zgładziłaś całe dziesiątki, mając dodatkowo przepaską zasłonięte oczy.

– „I zatyczki w uszach” – dodaję prześmiewczo.

– O tym mi nie wspomiano... – zauważa z niezmienną powagą Anron i w tym samym tonie kontynuuje: – Zaś podczas bitwy z Legionem Śmierci spaliłaś ponoć, pani, całą cesarską stolicę. I popłynęłaś hen wpływ aż do samej Otchłani, aby tam mierzyć się z godnymi ciebie potworami. – Na te słowa robię wielkie oczy i z trudem tamuję uśmiech, a niezrażony król dalej snuje swe opowieści: – Z kolei w samej Otchłani pod twoim niezwyciężonym orężem padły całe dziesiątki heretyckich plemion, a nawet zgładzony został zionący ogniem smok.

– „Smok” – udaję przejęcie.

– Tak, dokładnie, łuskowate, skrzydlate monstrum. Natomiast już po powrocie do władztw Pendorum, przemierzywszy na wielkim orle Srebrzyste Góry, miałaś, pani, uratować cnotę księstwa przed niechybnym gwałtem ze strony barbarzyńców. Ocaliłaś podobno wszystkie dziewice z Razzinal...

– „Wszystkie dziewice” – potwierdzam z trudem wymuszonym, kamiennym wyrazem twarzy. I zaraz słyszę o kolejnych niesamowitościach, które to miały się dokonać za moją sprawą:

– Pieśni traktują też o tym, że praktycznie w pojedynkę przesądziłaś, pani, o zwycięskiej wojnie księstwa Razzinal przeciw konfederacji Favere, walcząc tam nawet z samymi niedźwiedziami.

– „Niedźwiedziami” – gestykuluje i z udawanym przestachem krzyżuje dłonie na piersiach. Następnie sama przewrotnie zapytuje: – „A co owi śpiewni wędrowcy wspominali o mojej tragicznej klęsce w chanacie i późniejszej niewoli”?

– Prawią oni, że na pustynnych ziemiach Precis samotnie rzuciłaś wyzwanie Zakonowi Lancy Czarnego Orła. I że na pole bitwy stawiło się przeciw tobie przeszło tysiąc zbrojnych zakonników, z których to pokonałaś, pani, połowę. Zaś pozostali przy życiu zakonnicy mimo usilnych starań i tak nie zdołali cię zabić. Natomiast w niewoli do tego stopnia oczarowałaś swym wdziękiem strażników, iż niczym pod wpływem magii, wpadli oni w niezwykły trans. W jego wyniku wypuścili cię, pani, z więzienia, a sami zamknęli się w celach...

– „Więc doprawdy jestem Boginią” – W końcu nie jestem w stanie powstrzymać szerokiego uśmiechu.

– Naprawdę nią jesteś... ? – Anron, nawet jak na niego, pyta nad wyraz poważnie. Zamiast odpowiedzieć, sama zagaduję:

– „A co, Waśc, o tobie prawią wędrowni trubadurzy”?

Na te słowa władca naraz odwraca ode mnie wzrok i wyraźnie zmieszany oznajmia:

– Obawiam się, że nikt jeszcze nie ułożył na mą cześć żadnej pieśni... Chyba jeszcze się dostatecznie nie zasłużyłem...

– „W moich oczach bardziej niż ja” – gestykuluje całkiem szczerze i całuję króla w policzek.

– Ten pocałunek oznacza dla mnie więcej niż najchwalebniejsza pieśń...
– Anron nagle promienieje. I zaraz próbuje swymi ustami dosięgnąć moich ust. Ale niczym na polu bitwy schodzę z linii pocałunku i wskazując na drogę, którą podążamy, czynię wymijający gest:

– „Uwaga na błoto”.

– Racja... – stwierdza raptem przygaszony władca, którego uwagę skutecznie przekierowuję. Idziemy moment w ciszy, rozglądając się po ukwieconej okolicy. Chociaż król co raz zerka w moim kierunku, aż ponownie zagaja:

– Co sądzisz, pani, o ostatniej kobiecej modzie w stolicy królestwa...? – Spogląda na moje ubranie, czyli podarowaną mi błękitną suknię z licznymi białymi falbanami, ciągnącą się za mną po błocie.

– „Sądzę, że w twoim podarku, Waść, jest mi wygodniej pracować w polu niż w stroju gladiatrix” – czynię swobodne gesty.

– To nie jest suknia do pracy na roli... – zauważa nieco skonsternowany Anron.

– „Właśnie, dlatego zamierzam ją nieco skrócić” – Uśmiecham się, patrząc na ubłoconą część garderoby i w końcu zarażam uśmiechem towarzyszącego mi młodzieńca. Od tego momentu następuje etap rozluźnienia rozmowy i wzajemnie żartujemy, z lekka się przekomarzając. Muszę też przyznać, że w tym aspekcie stajemy się z czasem naprawdę dobrzy. W każdym razie w swej własnej obecności.

W kolejne tygodnie odbywamy jeszcze wiele takich wspólnych, naprawdę uroczych przechadzek, aż król zaprasza mnie na konną wycieczkę. Korzystam z niecodziennego zaproszenia i szybko dochodzę do wniosku, że tego właśnie było mi trzeba. Zaznać dzikiego pędu i wiatru we włosach. Dobrze poczuć tę znaną mi natchnioną radość płynącą z szaleńczego przemierzania otwartych przestrzeni niczym posmaku prawdziwej wolności.

Zaś po skończonej jeździe, król nie odprowadza mnie jak zazwyczaj do mojej wioski, tylko zaprasza do pobliskiego dworku. Jest już późno i słońce

powoli chyli się ku zachodowi, więc pewnie wypadaloby uprzejmie odmówić, ale się godzę...

Wewnątrz domostwa jemy wykwintną kolację przy świecach. Obsługiwani jesteśmy przez lokaja przy stoliku z białym obrusem, gdzie piętrzą się przepyszne potrawy i stoją kieliszki wina. Raczeni jesteśmy też muzyką z fletów i skrzypiec.

Po kolacji Anron prowadzi mnie do gościnnego pokoju, abym spędziła w tym domu noc, która widoczna jest już za oknem. Przyjmuję zaproszenie i wkraczam do komnaty z już zasłanym łóżem. Chcę się rozbierać do snu, lecz zauważam, że król zamyka drzwi, ale bynajmniej nie za sobą. Tak oto pozostajemy w sypialnej komnacie sami.

Spoglądam z lekkim uśmiechem na ustach na monarchę, ponieważ oczywiście się domyślam, co też mu chodzi po głowie. I przede wszystkim nie mogę się na to nigdy zgodzić, bo tego władcy akurat nie pragnę zabić. Dlatego już wiem, że poskapię mu wdzięków swego kobiecego ciała i będzie się musiał obejść smakiem.

On z kolei podchodzi do mnie dworskim, sztywnym krokiem. Dłuższy czas spogląda mi w oczy z prawdziwym uczuciem. Aż nieoczekiwanie on, król, klęka przede mną i podniosłe oznajmia:

– Zaczyna lady, pani Saladior, zwana także Matką Cień. Czy uczynisz mi ten wielki zaszczyt i zostaniesz moją... żoną...? – Otwiera ku mnie dłoń ze złotą, migotliwą obrączką i z miłością dodaje: – Uczyni to, albowiem... całym sercem cię kocham... Zatem proszę, zaklinam, zostań moją królową...

I naraz, na te niecodzienne wyznanie, gdy patrzę na mężczyznę u moich stóp, stają mi w oczach łzy. Jednak ze smutkiem kręcę przecząco głową, po czym wymownie lekko odpycham od siebie Anrona.

– Ale... dlaczego...? – pyta z prawdziwym, szczerym bólem. Sama nie jestem w stanie dłużej patrzeć mu w oczy. Własne wycieram ręką i siadam na łóżku. Nagle robi mi się tak bardzo ciężko na duszy.

Zaraz czuję na swoim ramieniu krzepiąca dłoń, dotykam jej własną ręką, a wtedy spotyka ją pocałunek. Kolejny spoczywa na mojej szyi, policzku, ustach.

Wtem wręcz gwałtownie odpycham Anrona i myślę już tylko o tym, aby po prostu stąd uciec. I wtedy padają te znamienne słowa tak bliskiego mi przecież mężczyzny:

– Odkąd cię znam, me życie nabrało zupełnie innego wymiaru i za nic nie chcę już dawnego, samotnego życia. Nie chcę życia bez ciebie. Bo zrozumiałem, iż jedna chwila z tobą jest warta całych eonów. Więc z radością oddałbym swe istnienie, aby choć na moment być naprawdę blisko ciebie. Tak blisko, jak tylko się da... Mówię to szczerze z całego serca. I jeżeli teraz mnie przegnasz, nie ręcę za siebie, ponieważ swoje żałosne życie przeklnę, jak i samego siebie uznam za przeklętego.

– „To ja jestem przeklęta” – gestykułuję bezradnie i spoglądam na moje obecnie zasłonięte suknią udo zdobne w wytatuowane czaszki. Lecz jednocześnie rozumiem, że odtrącając Anrona, zrobię mu wielką krzywdę. Dociera też do mnie to, iż sama go pragnę.

A jeśli... – snuję moje myśli w tak pożądanym przeze mnie kierunku. – Jeżeli mym największym przekleństwem jest to, że uwierzyłam w legendę o sobie, mitycznej Anrei, którą tak naprawdę nie jestem, a którą jedynie udaję? Albo też klątwa męskiego nasienia w mym ciele to zwykłe, zawistne brednie i po pełnej miłości ze mną tak naprawdę nic moim kochankom nie grozi?

Dochodzę do takiego wniosku, ponieważ w tej chwili ze wszech miar pragnę tak właśnie myśleć, zaklinając rzeczywistość. I uśmiecham się przez łzy, po czym zdejmuję sobie suknię z jednego z ramion. Zaraz spoczywają na nim męskie pocałunki. Te niebawem dotykają moich nagich piersi i łona. Tak, kochamy się, a ja słyszę z ust mego kochanka, który jest dla mnie wyjątkowy, że i ja jestem dla niego jedyna.

Przyznaję, iż w tym cielesnym zbliżeniu jest na swój sposób cudownie, inaczej niż z innymi mężczyznami. I chociaż sama nie doznaję pełni rozkoszy, to mój kochanek wydaje się wniebowzięty, a swym spełnieniem jest wręcz odurzony.

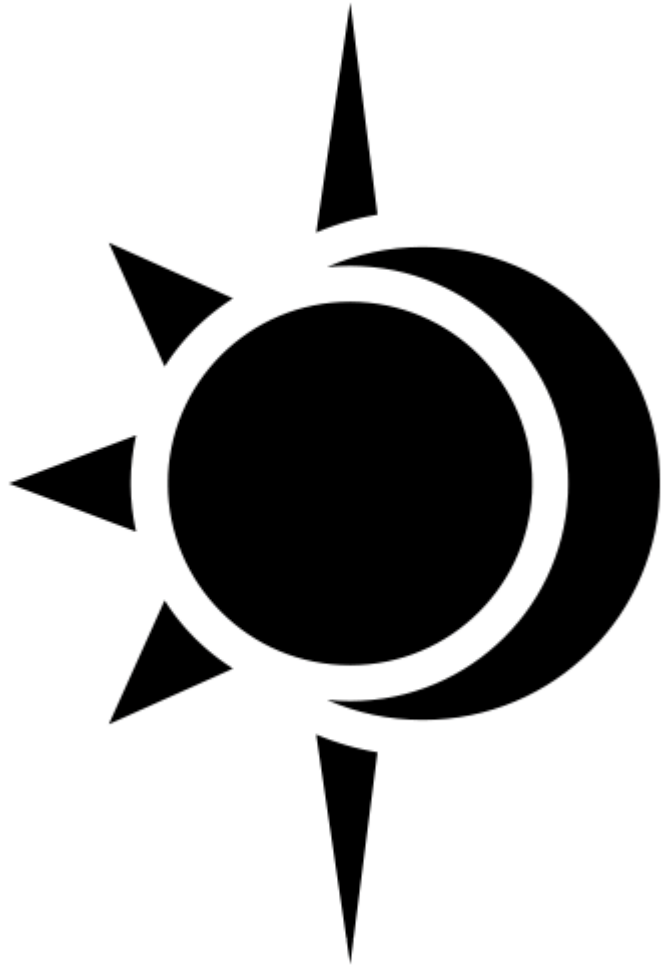
Natomiast po wszystkim Anron zaklina mnie, abym z wiadomych względów nie brała do ust napoju Harremid. Potem, głaszcząc mnie czule po włosach, snuje na głos przemyślenia na temat naszego rychłego ślubu, następnie wspólnego, długiego życia i królowania. A ja, słuchając go z

przyjemnością, zasypiam w męskich ramionach. Ponownie udaje mi się zaznać tego cudownego uczucia, tulącego mnie do błogiego snu.

Jeszcze przed świtem budzi mnie natarczywe pukanie w okno. Król cały czas śpi, więc spoglądam, kto śmie przeszkadzać w spoczynku jemu samemu oraz przyszłej królowej. Za szybą dostrzegam Exona z zapaloną pochodnią. Na ten widok odczuwam dreszcz niepokoju. Dlatego ubieram się czym prędzej i wychodzę przed dom.

Mój kompan bez słowa wręcza mi kartkę papieru i świeci pochodnią, abym mogła przeczytać treść listu. Czyniąc to, składam dłoń na piersiach. A zaraz porywam się do stajni, siodłam mego rumaka i gnam z Exonem co sił z powrotem do wioski.

Nie, jej samej nic się nie stało. Za to Adora powiła syna, który z miejsca zostaje porwany. Ja z kolei otrzymuję proste ultimatum od samej Tiry, obecnej cesarzowej Terraticos. Jeżeli dziecko ma przeżyć mam natychmiast wypowiedzieć posłuszeństwo królowi Saladior i zostać najemnikiem cesarstwa. Ostatni akapit listu nie pozostawia złudzeń, dlaczego tak się ma stać. Oto informuje on o właśnie dokonanym akcie: cesarstwo Terraticos wypowiada wojnę królestwu Saladior.



IX. CESARSTWO TERRATICOS

Jestem w drodze do moich włości. Zaś przez mój umysł, niczym ciemna burzowa chmura na jasnym niebie przewija się taka oto myśl, że ostatni czas w królestwie był jak piękny sen. Jednak był czymś, co w okrutnym świecie Pendorum nie może się na dłużej ziścić. A obecnie czas znowu przebudzić się do prawdziwego życia i ponosić jego trud.

Oczywiście nie zaryzykuję życia dziecka Adory i przystanę na żądania Tiry. Gdybym postąpiła inaczej, w jaki sposób spojrziałbym sobie i innym w twarz? I nic nie zmieniłby fakt, że mogłabym spoglądać w oblicze samej królowej Saladior z zacnym mężem u boku.

Tymczasem gwałtownie spinam rumaka i smagam go batem, jakby odreagowując własne pomieszczenie. Nagle bowiem znowu z całą siłą uderza mnie myśl, że przecież jak bardzo nie zaklinałabym rzeczywistości, to jestem przeklętą, mityczną Anreą. Tak, przecież to wiem! Ponadto jestem osobą, która właśnie spędziła noc z królem i niniejszym go uśmiercam. Zatem teraz dla odmiany skoncentruję się na tych, których mogę ocalić.

Po przybyciu do wioski bezskutecznie próbuję uspokoić zrozpaczoną Adorę, jeszcze osłabioną po połogu. Zarzekam się, że poruszę niebo i ziemię, aby odzyskać jej nowo narodzonego chłopczyka i zaprawdę powiadam, czynię to.

Ravela, Virię, Exona oraz Kalillę wysyłam do okolicznych wiosek, aby natychmiast sprowadzili rozlokowanych tam moich najemników. Ponieważ najdalej około południa musimy wyruszyć w kierunku pobliskiej granicy z cesarstwem.

Czas nagli, a sama zamierzam podążyć przodem z Gabu oraz Adorą. Ponieważ za nic w świecie nie chcę ryzykować sytuacji, w której ponownie spotka mnie tutaj król Anron. Doprawdy nie wiem, jak mogłabym się obecnie wobec niego zachować.

Po kilku dniach mój oddział liczący niemal stu jeźdźców, a więc znaczącą siłę, jest już w Rakus, cesarskim mieście, gdzie niegdyś walczyłam na arenie. Mam się tu spotkać z samą cesarzową, ale wita mnie, jeżeli można tak powiedzieć, jedynie Pajos...

Z trudem biorę na wodze emocje, aby własnoręcznie nie zabić tego bydlaka na wspomnienie jego ohydnych czynów. Lecz ciągle mam w pamięci, że jestem szachowana podstępem Tiry. Dlatego kapituluję i podpisuję na miesiąc kontrakt w służbie cesarstwa. Dokument zawiera zapis, że w zamian za moją wymierną służbę po tym czasie porwane dziecko zostanie zwrócone matce. Wymierna służba – myślę i czym prędzej wyruszam do kolejnego celu, gdzie marszałek Donakus z rodu Widiuszów, koncentruje cesarskie wojska.

Na miejscu, którym jest rozległa równina w pobliżu z granicą królestwa Saladior, napotykam znane mi już formacje wojskowe. Są tu ciężkozbrojni kusznicy i karna piechota legionistów, a także średnio opancerzona, regularna konnica, ponadto niewielki oddział ciężkiej jazdy Arezara.

Lecz dostrzegam tutaj kogoś jeszcze, kto brał już udział w wojennych zmaganiach. To grupa pojmanych jeńców, w tym dumnych przedstawicieli Zakonu Buławy Czerwonego Lwa pod wezwaniem Boga honoru i walki Avenedora.

Podchodzę do skrupowanych zakonników i dłuższy czas przyglądam im się z uwagą. Nie mają na sobie hełmów, jedynie ciężkie zbroje, dzięki czemu mogę podziwiać ich niewyrażające emocji twarze. Wszyscy wyglądają dość podobnie do siebie, zupełnie jakby stanowili grupę braci i to nie tylko zakonnych. Może to przez ich nieczułe oblicza, a może włosy w każdym przypadku równo ostrzyżone niemal przy samej czaszce i płowe.

Przykucam tuż przed tymi siedzącymi na ziemi postaciami zniewolonymi kajdanami na rękach i nogach, po czym gestykuluję:

– „To prawdziwy honor spotkać wielkich rycerzy sławetnego Avenedora”. – Bynajmniej nie drwię, a ci mężczyźni naprawdę robią na mnie wrażenie. Oni jednak wydają się w ogóle nie zauważać moich ruchów dłońmi, ponieważ żaden z nich nie reaguje. Już chcę to zrzucić na karb nieznajomości przez nich mowy gestów, gdy z błędu wyprowadza mnie Exon:

– Oni dali się pojmać w walce, zamiast mężnie zginąć. To ujma na ich honorze i przeżywają swoistą żalobę. Dlatego nie będą rozmawiać ani z tobą, ani też nikim innym, dopóki nie przebaczy im wielki mistrz zakonu Avenedora.

– „Rozumiem” – gestykuuję i powracam do pozycji stojącej. Jednocześnie przechodzi przez mój umysł refleksja na temat tego, jak różne są poszczególne zakony i ich przedstawiciele. Następnie kieruję myśli ku moim mitycznym dzieciom, obecnym Bogom Pendorum, patronom zakonów. Czy moi boscypotomkowie także są tak różnorodni swym charakterem? Jako ich matka pewnie powinnam to wiedzieć, ale nie jest mi to dane. Ta wiedza jawi mi się jako zupełnie niedostępna.

A już nazajutrz wyruszamy w sile kilku tysięcy żołnierzy wprost w kierunku stolicy królestwa Saladior. Bowiem cesarzowa Tira nie zwykła zadowalać się ochłapami i jej ambicje oraz dalekosiężne plany wydają się nie mieć granic.

Jednakże inne władztwa również zaprawione są w krwawych bojach, które praktycznie nieustannie przetaczają się przez kontynent Pendorum. Dochodzą mnie mianowicie słuchy, że król Anron zwołał swych lordów i osobiście nimi dowodząc, w podobnej sile do cesarskiego wojska, wyruszył na niszczycielską konfrontację.

Zapowiada się zatem wielka i krwawa bitwa, gdzie stoczę walkę z ludźmi, których jeszcze kilkanaście dni temu uznawałam za swoich poddanych lub przyjaciół. Oni zaś, mnie samą mieli za lady, która zawsze będzie ich chronić. Cóż poradzić, przeklinam ironię losu, ale bynajmniej nie ma dla mnie odwrotu.

Wkrótce dwie wielkie armie kluczą w swoim pobliżu, starając się wciągnąć nawzajem w pułapkę albo przynajmniej uzyskać dogodniejszą pozycję w terenie. Mijają jednak kolejne dni, a ja z wielką nadzieją zaczynam je odliczać. Albowiem czas płynie, wiernie podążam z cesarską armią, z kolei walna bitwa ciągle nie nadchodzi, a mój przeklęty kontrakt niebawem się skończy.

Aż w obozie Terraticos pada złowroga zapowiedź. Cesarzowa Tira wydaje kategoryczny rozkaz, aby nie bacząc na przeszkody, stoczyć decydujące starcie przed końcem miesiąca księżycowego. Stąd me nadzieje

na uniknięcie walki stają się płonne i już następnego dnia wraz z moimi najemnikami zajmują niedogodne pozycje o stóp niewielkiego wzgórza. Wokół nas rozlewają się wszystkie cesarskie zastępy i przygotowują szturm na wroga. Ten fortyfikuje się za rzeką, wykopał rowy, zbudował palisady obronne i czeka.

Sama być może mam nawet plan, jak ugryźć przyczajonego przeciwnika, lecz absolutnie nie zamierzam wychodzić przed szereg. Nawet więcej, jestem gotowa poświęcić życie wielu mych najemników, zaś na zwycięstwie tym razem wcale mi nie zależy. Być może satysfakcję przyniosłaby mi wręcz przegrana, bo byłaby ona udziałem również nienawistnej mi cesarzowej. Choć o jednym muszę bezwzględnie pamiętać – rozkazy, jakie otrzymam muszą być absolutnie wykonane, abym należycie wypełniła kontrakt i odzyskała porwane dziecko. Jednak tu pojawia się zasadniczy problem.

Marszałek Donakus wzywa podległych sobie dowódców i objaśnia im plan ataku. Natomiast mi samej wyznacza wręcz samobójcze zadanie, dodając z kąśliwym uśmiechem na ustach, iż jest to skromny prezent od cesarzowej Tiry.

W dniu samej bitwy jej pole już od rana spowija gęsta mgła. I niewątpliwie jest to mój największy sprzymierzeniec, za którego jestem skłonna dziękować samym Bogom, a moim dzieciom. Ponadto przechodzi mi przez głowę myśl, że to naprawdę zesłany przez nich dar. W końcu przecież jestem ponoć boską matką, czyż nie?

Choć moje imię to także Matka Cień i właśnie w nim, moim cieniu, podąża za mną czołówka mych wiernych kompanów. Pozostali najemnicy jadą stępa za nami w długim sznurze konnicy. Docieramy daleko na prawą flankę nad bród rzeki, którą mamy przekroczyć, by następnie niepostrzeżenie dostać się na tyły wroga. Jeżeli zaś ten nas zbyt wcześnie zauważy i wyśle przeciw nam ciężką, królewską jazdę, wówczas nie będzie odwrotu i niechybnie śmierć weźmie nas wszystkich w swoje objęcia.

Chlupot na brodzie pod końskimi kopytami doprawdy drażni uszy. Skrywa nas mgła, ograniczająca widoczność, ale co począc z rozchodzącymi się wokół odgłosami nagle wzburzonej wody?

Naraz rozlega się wręcz obłędny skrzek wron i kruków, które zagłuszają czyniony przez nas hałas. Tak więc ptaki po mgle jawią się jako nasi kolejni bezcenni sojusznicy. Zatem jesteśmy już coraz bliżej celu. Przedzieramy się na tyły zbrojnych zastępów z Saladior, w miejsce, gdzie się ich spodziewamy, choć również ich nie słyszymy, ani nie widzimy.

W tym czasie regularne wojska Terraticos powinny już podchodzić od frontu pod pozycje wroga i rozpoczynać zaczepną potyczkę, zasypując przeciwnika deszczem bektów. I chyba rzeczywiście tak się dzieje, albowiem gdy zatoczywszy półkole, nawracam mych jeźdźców i ustawiam szeroką ławą, gdzieś daleko z przodu dochodzi nas jakieś poruszenie.

Aż raptem zrywa się porywisty wiatr, który dmie wręcz szaleńczo i momentalnie rozwiewa poranną, gęstą mgłę. I oto ukazują nam się w znaczącej odległości plecy królewskich gwardzistów, pieszych oraz konnych, jak również sam król na rumaku. Tak, jego też rozpoznaję.

Unoszę pionowo rękę, a moi ludzie naciągają na cięciwy łuków dziesiątki strzał. Lecz moja uniesiona kończyna zastyga w górze, coś jakby ją przytrzymało, jakaś niewidzialna siła. Odczytuję, że jest to chęć, aby jednak w ostatniej chwili zmienić front. Z zaskoczenia uderzyć na wojska Terraticos, po czym przyczynić się do rozgromienia cesarstwa i na czele królewskiej armii udać się aż po głowę samej cesarzowej Tiry.

Ta myśl jest doprawdy nęcąca i to do tego stopnia, że powoli zaczynam opuszczać wyciągniętą dłoń, zamiast machnąć nią energicznie do przodu, dając tym samym znak do ataku.

I wtedy spoglądam z ukosa na Adorę. W jej dłoniach widzę desperacko ściskaną kuszę, a w oczach szklące się łzy, podczas gdy jej górna warga szybko drga. I ani się obejrzę, a ponownie podrywam rękę do góry, by zamasyście skierować ją wprost na króla Saladior. Atakujemy!

W górę wzbijają się dziesiątki naszych strzał i zmierzają na wroga, którego wyznaczył nam okrutny los. Zaraz potem dobywamy białą broń i szarżujemy na tyły kompletnie zaskoczonych królewskich wojsk. Wpadamy w nie z impetem, z łatwością łamiąc ich szyk, który nie zdążył się ku nam skutecznie uformować. I tak rozpoczyna się doskonale znana mi pieśń chrzęstu broni, a także jęków i wrzasków konających czy rannych. Sama gram tutaj pierwsze skrzypce, młóćąc skutecznie dwoma ostrzami.

Podbijam wrogą klingę miecza i zamaszyście rozcinam gardło pod hełmem konnego rycerza. Drugiego siekę przez kark, a kolejnemu wciskam czubek ostrza pomiędzy płyty zbroi prosto w pachwinę. Następnym przeciwnikom okładam stalowe osłony z takim impetem, że zrzucam ich z rumaków prosto pod końskie kopyta.

W pewnym momencie oddalam się od centrum walki i przezbrajam w łuk, po czym posyłam strzały, wspierając mój oddział w najbardziej potrzebnych miejscach. Gnając wzdłuż linii walczących, celuję w rumaki bądź w oczy zakuty w ciężką stal przeciwników. Natomiast tym w zwykłych kolczugach przeszywam grotami gardła, torsy i plecy. Padają jeden po drugim, a ja nie przestaję zabijać!

Aż naraz gwałtownie wstrzymuję wierzchowca i w moich dłoniach ponownie znajdują się miecze, ponieważ jakiś jeździec zagradza mi drogę. Odruchowo biorę na niego zamach, lecz raptem dostrzegam, że to sam król, a co więcej on się nie broni. Na mój widok upuszcza dwuręczny miecz i zdejmuje swoją koronę, po czym z pogardą rzuca ją w tłum walczących.

Pragnęłabym do niego krzyczeć co siłą, aby uciekał z pola walki i zamknął się w najbardziej niedostępnej ze swoich twierdz! Ale przecież jestem niemową i jestem tu, by pokonać jego armię, a jego samego zabić. Więcej, przecież sama już go zabiłam pewnej upojonej nocy. Więc nie da się ukryć, iż jestem przekleństwem tego mężczyzny, a skoro tak, to czas zwieńczyć swe dzieło... – myślę w ten sposób, wyłączając swe umysł oraz serce i tnę ostrzem przed siebie.

Anron, jakby nie dowierzał w to, co właśnie czynię. Z jego rozciętego gardła wylewa się prawdziwa fontanna krwi, którą król rozpaczliwie próbuje tamować dłońmi. I wciąż spogląda mi pytająco w oczy, czyniąc to tak długo, aż gaśnie w nim ostatnia iskra życia.

Niemal równocześnie rozlega się wokół rozpaczliwy krzyk królewskich gwardzistów donoszących wszem i wobec, że ich władca nie żyje. Wieść o tej śmierci niesie się z ust do ust po całym polu bitwy i wydaje się czynić większe spustoszenie w królewskich szeregach niż wszyscy przeciwnicy. Albowiem nagle, jak jeden mąż, wojska z Saladior rzucają się do panicznego odwrotu. Sama wciąż siedzę na swym rumaku, mając pod jego

kopytami królewskiego turpa i już bez emocji oglądam kompletnie chaotyczny odwrót moich niedawnych przyjaciół, a obecnych wrogów.

Ci są bezwzględnie ścigani zarówno przez moją konnicę, jak i cesarskie konne zastępy. Królewska piechota jest dorzynana i brana dziesiątkami w niewolę. Natomiast słynna, ciężka jazda pierzcha w panice na wszystkie możliwe strony.

I raptem porywisty wicher przestaje wiać, a pole bitwy ponownie spowija mgła, przywodząca na myśl kłęby dymu. Nastaje niemal absolutna martwa cisza przerywana jedynie rżeniem konających i dobijanych żołnierzy.

To koniec bitwy, jak również życia kolejnego władcy Pendorum. Niebawem zaś skończy się także mój kontrakt. Do jego wypełnienia pozostaje już tylko jeden dzień. Kiedy mija, zatrzymuję się z kompanią na skraju mojej niedawnej wioski. Ta jest doszczętnie spalona, a mieszkańcy, których w większości znałam osobiście, wybici w pień. Zostają oni ułożeni w jednej linii i nawet nie pogrzebani. Wygląda to tak, jakby ktoś dokonał na nich egzekucji.

Ten widok ściska mi serce nieznośnym bólem i ronię gorzką łzę, czując się winna, bo w pewien sposób jestem. Zaciskam dłonie w pięści, ale zaraz bezradnie rozluźniam palce. Jestem taka bezradna. Z kolei zza zgliszcz spopielonej wioski wyłania się jakiś jeździec z chorągwią. Po emblematach rozpoznaję, że to cesarski posłaniec.

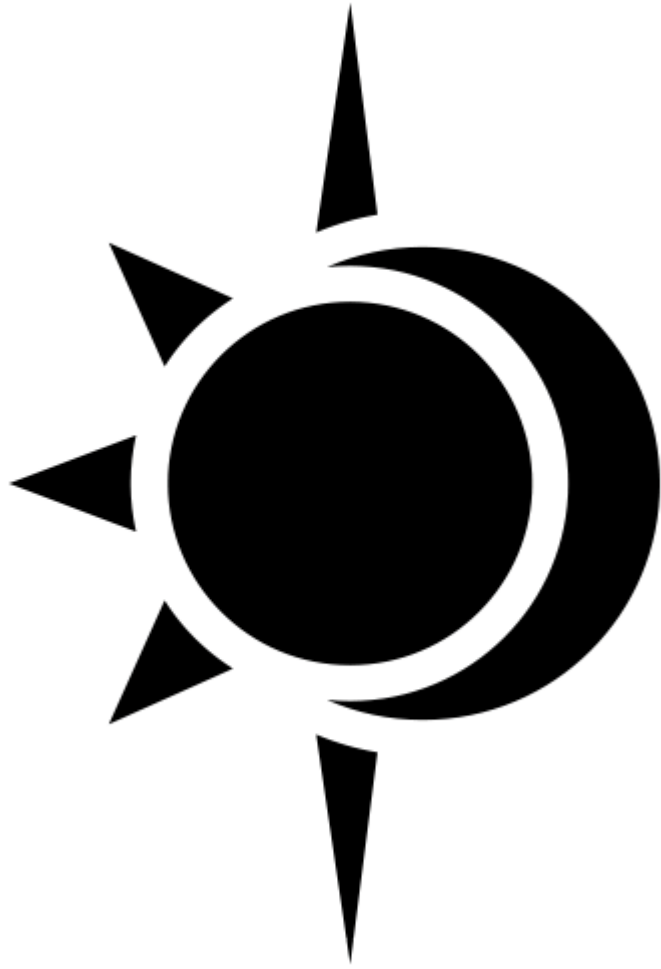
Podjeżdża do mnie i zamiast się odezwać, wręcza rulon papieru. Rozkładałam go i czytam zapisane słowa, nie mogąc uwierzyć w zawartą w nich treść. Otóż cesarzowa Tira gani mnie za moje żalosne poczynanie podczas kampanii wojennej. Zaś moim odkupieniem ma być służba jako najemnik na rzecz cesarstwa przez jeszcze jeden miesiąc. Albo też za moje oczywiste przewiny i niesubordynację dane będzie zginąć pewnemu niewinnemu dziecku.

Kończę czytać i spoglądam na posłańca. Ten czeka na podpis dokumentu, jednak jest on właśnie w moich dłoniach rwany na strzępy. Cesarski goniec spogląda na to oburzony wprost w moje oczy, lecz dostrzega w nich taki ogień, że nagle pochyla pokornie głowę. Błyskawicznie nawraca rumaka i gna co sił w kierunku cesarskich ziem.

Ja sama nie tłumię w sobie wzburzenia, nie potrafię. Cała się wręcz wewnętrznie gotuję, zupełnie jakbym miała zaraz eksplodować. Mój koń robi się niespokojny i staje dęba. A kiedy opada na cztery kopyta, moje oczy się rozświetlają i wstępuje w mnie jakaś zupełnie niepojęta siła, która całkowicie przejmuje nade mną kontrolę.

I nagle moje czysto ludzkie ciało się transformuje, po czym gnam w powietrzu jako skrzydlata łania, a czynię to prosto w kierunku cesarstwa Terraticos. Zaraz jestem już skrzydlatym lwem, który porykuje groźnie w przestrzeni i ciągnie w przestworzach do stolicy cesarstwa. Jako skrzydlaty niedźwiedź mijam pod sobą żyzne pola i gęste lasy. Natomiast będąc skrzydlatym psem, przekraczam mury Etos. I lecę dalej do jednej z wysokich, pałacowych wież, by dostać się przez okno do wnętrza komnaty. Na miejscu wyjmuję z kołyski znajdujące się tu niemowlę i sadzam sobie na kark. Następnie jako wielki ptak powracam w niezmierzone przestworza, szybując pod złocistym słońcem.

Aż raptem otwieram oczy, niczym przebudzona z głębokiego snu i zdaję sobie sprawę, że siedzę naprzeciw spalonej wioski pod drzewem jabłoni. Zaś kolejne, co dostrzegam, to wszystkim moich najemników klęczących przede mną z czołami przy ziemi. Ponadto moi najbliżsi kompani otaczają kołem Adorę. Dziewczyna z Saladior ma w ramionach małe dziecko, które karmi piersią. Zarówno matka, jak i chłopiec, uśmiechają się.



X. IMPERIUM PENDORUM

– „Ta twierdza” – wskazuję na mapie północno-wschodnie połacie ziem cesarstwa Terraticos. Na co Exon koncentruje się na fragmencie mapy rozłożonej na pniaku drewna i oznajmia:

– W obozie Terraticos, przed bitwą z Saladior, rozmawiałem z cesarskimi żołnierzami. Ponoć właśnie ta twierdza o nazwie Skalna Wieża została już na początku wojny zaatakowana przez oddziały królewskie, jednak atak odparto.

– A do moich uszu dotarło – wtrąca Viria – że potem szturmowali tę warownię Allearzy. Tak przynajmniej twierdzi jakiś cesarski żołdak, z którym się przespałam, myląc go po pijaku z Ravelem...

Wymieniony z imienia mężczyzna mrozi partnerkę wzrokiem, lecz ona tylko wzrusza ramionami. Ja z kolei raz za razem uderzam czubkiem miecza w twierdzę zaznaczoną na mapie.

– Chcesz ją... zaatakować...? – pyta, niedowierzając Gabu. W odpowiedzi kiwam twierdząco głową.

– Czemu chcesz to uczynić, Anreo? To jest... pani... – poprawia się Kalilla.

– „Dość mam już bycia zwykłym najemnikiem” – gestykuluję, a moje ruchy dłońmi tłumaczy na głos Adora. – „Czas, abym samodzielnie zaczęła rządzić. Natomiast twierdza Skalna Wieża ma przetrzebioną załogę. Dlatego idealnie się nada na pierwszy cel”.

– Dobrze... – mówi w zamyśleniu Exon i wyraża wątpliwość: – Ale liczę, że po ostatniej bitwie zostało nam może siedemdziesięciu zdatnych do walki najemników. Do tego konni łucznicy nie są nawykli to szturmowania zamków. Zatem...?

– „Po drodze do twierdzy zatrzymamy się w każdym cesarskim miasteczku i najmiemy tylu wojowników, ilu się da”.

– Nie da się zbyt wielu za posiadany przez nas majątek... – zauważa z troską Gabu.

– „Część ludzi pójdzie z nami jedynie za obietnicę zapłaty, a wielu z nich nigdy jej nie otrzyma, bo zginą podczas szturmu” – Tak, w tym momencie jestem nad wyraz wyrachowana. Ale nie da się ukryć, że przyszła bitwa pochłonie życie licznych najemników, a co za tym idzie, wielu z nich nie dostanie żołdu.

Z kolei na moją ostatnią uwagę moi kompani nie zgłaszają sprzeciwu. Tak więc co do następnych kroków wydajemy się zgodni. Czas zatem ruszyć po koronę, którą sama wykuję sobie w ogniu nowej wojny.

*

Kolejna salwa z łuków zmierza w stronę wysokich murów warownego zamku i dosięga tam kilku wrogich kuszników z Terraticos. W sumie na czas ataku mam pod swoimi rozkazami blisko setkę jednostek strzelecki i błyskawicznie oczyszczam mury twierdzy z przeciwników, którzy nie znaleźli sobie osłon. Potem daję sygnał do bezpośredniego szturmu.

I tak do przodu rusza pierwsza z dwóch setek piechoty. Najemnicy mają na wyposażeniu wysokie drabiny, które właśnie stawiane są do pionu, by zaraz ich końcami dosięgać szczytu murów.

Na pierwsze drewniane szczeble wchodzą schowani za masywnymi tarczami moi miecznicy najęci w cesarskich miastach. Lecz z tą chwilą szturm przestaje iść pomyślnie.

Nagle na drabiny leje się wrzący olej, a zaraz po nim płonąca smoła. Moi konający i poparzeni ludzie wrzeszczą w niebogłosość i spadają z wysokości, a następni stają jak wryci, nie zamierzając się posuwać naprzód. Dodatkowo pomiędzy basztami pojawiają się obrońcy z oszczepami i ciskają w najemników z impetem, a każdy celny rzut oznacza śmierć trafionego.

Sama, wraz z pozostawionymi na tyłach łucznikami, błyskawicznie przymierzamy z łuków i ponownie zasypujemy twierdzę strzałami. Także i tym razem naszym łupem pada wielu obrońców. Wówczas i moja piechota

wznawia swój morderczy pochód naprzód. Jednak zaraz sytuacja się powtarza i w ruch idą wrzący olej oraz płonąca smoła, a potem oszczepy.

I tak po ciężkich walkach pierwsza setka mojej zaciężnej piechoty zostaje w końcu doszczętnie rozgromiona. Pozostaje mi stu łuczników i ostatnia setka szurmowców, którą zdecydowanym ruchem ręki właśnie posyłam do boju. Nie wiem, ilu jeszcze pozostało obrońców i nie potrzebuję tej wiedzy. Ponad wszystko pragnę tej twierdzy! I nawet nie biorę pod uwagę możliwości odwrotu.

Myśląc tak, przesuвам się systematycznie do przodu aż pod drabiny i ryzykując poparzenie spadającą, gorącą cieczą, szyję z łuku w pojawiających się nade mną żołnierzy Terraticos. Walka na murach ponownie przybiera na sile, a wszędzie wokół krzyczą i płoną ludzie, podczas gdy z góry leje się na moją twarz świeża krew, a po bokach wbijają w ziemię rzucane oszczepy. Jednak nie mam zamiaru ustąpić!

Cofam się jedynie o krok i naraz czuję czyjąś dłoń na ramieniu. To Exon szarpie mnie, wskazując daleko na lewą flankę. Mrużę oczy i dostrzegam tam pancerne rumaki oraz zakutych w stal jeźdźców, a ponad nimi łopoczące chorągwie Arezara. Zakonników tradycyjnie wspierających cesarstwo Terraticos.

Na ten widok moją twarz wykrzywia bolesny grymas. Ponieważ resztki mojej piechoty właśnie prowadzą straceńczy bój na drabinach i w żaden sposób nie mogę skutecznie odwołać żołnierzy, aby stawili zorganizowany opór zakonnikom. Natomiast moi łucznicy, którzy pozostawili swe rumaki w pobliskim lesie, na otwartym polu zostaną po prostu stratowani.

W obliczu takich faktów me dłonie, gdzie w jednej trzymam strzałę, a w drugiej łuk, opadają. Czuję narastającą bezradność, a jednocześnie nie jestem w stanie dać znaku do odwrotu. Nie mogę! Z kolei jeźdźcy zbliżają się do nas galopem, wzniesając w powietrzu tumany kurzu. W odpowiedzi zagryzam wargi i przezbrajam się w miecze. Zaś moi najbliżsi kompani, także uzbrojeni, otaczają mnie półkolem.

Tymczasem zakonnicy są już tuż przed nami. I nagle niespodziewanie zwalniają, po czym zeskakują z rumaków. Dobywają tarcze oraz miecze i w takim rynsztunku kroczą dalej. A gdy docierają do drabin, wchodzą w równym rzędzie na górę. Nie mija wiele czasu, a toczą już walkę z

obrońcami twierdzy i skutecznie wdzierają na wydawałoby się niezdobyte mury.

Patrzę na tę scenę, zupełnie niedowierzając. Natomiast ostatni z przybyłych na odsiecz zakonników nie podąża do góry, do swych zakonnych braci, tylko zdejmując hełm i ukazując mi swoje oblicze, staje przede mną. Jest to nie kto inny, jak Zan, który dumnie oświadcza:

– Wielu z nas to widziało w mieście Etos. Skrzydlatego psa, a potem wielkiego ptaka z dzieckiem zasiadającym pomiędzy skrzydłami. Wyjawilem moim braciom, kogo wówczas obserwowali i dlaczego powinni tej boskiej istocie służyć. Jest nią bowiem ta, której prawo do władzy w Pendorum jest jedyne i niepodważalne. Zatem każdy rycerz Arezara winien jest posłuszeństwo właśnie jej, odrodzonej, mitycznej Anrei, nie zaś cesarzowej Tirze. Zwykłej uzurpatorce przy mej Bogini. – Kłania się lekko.

Na te niezwykle słowa zastygam wręcz z dzikim uśmiechem na twarzy. A zaraz rzucam się pędem po drabinie na mury. Za mną podąża Zan oraz moi kompani.

I już jestem pośród walczących zakonników. Następnie przed ich pierwszym szeregiem. Siekę na murach mieczami obrońców, to błyskawicznymi kopniakami posyłam ich w locie aż na dziedziniec twierdzy. Cały czas przedzieram się i prę do przodu, oczyszczając zamek z ostatnich wrogów.

Niebawem jestem już w wewnętrznych pomieszczeniach i tutaj każdego, ko nie padnie przede mną na twarz w geście poddania, z miejsca zabijam. Aż w końcu nie ma już wokół mnie nikogo, z kim jeszcze mogłabym skrzyżować oręż. Twierdza Skalna Wieża zostaje ostatecznie zdobyta. Martwi są uprzątani, ranni opatrywani, a jeńcy prowadzeni do lochów. Wtedy też zarządzam walne zebranie, gdzie jako niepodzielna władczyni po raz pierwszy zasiądam na należnym mi tronie imperium Pendorum.

*

Zgromadzenie odbywa się jeszcze tego samego wieczoru w głównej komnacie zamku-twierdzy. W moim tradycyjnym stroju gladiatrix zasiadam na najokazalszym fotelu znalezionym w tym kompleksie zabudowań i nie inaczej – jest to obecnie mój tron, choć zajmuję go bez korony na głowie.

Natomiast naprzeciw mnie stają zaproszeni przeze mnie goście, czyli szóstka moich wiernych kompanów oraz Zan.

– „Jako mityczna Anrea, jedyna prawowita władczyni całego kontynentu, powołuję do istnienia imperium Pendorum” – czynię ruchy dłońmi w kierunku Adory i do niej dodaję: – „Przekaż to wszystkim i dalej tłumacz moje gesty tak, jak masz w zwyczaju”. – Dziewczyna pierwotnie z Saladior, a na ten czas już imperium Pendorum, czyni swoją powinność, a ja, kontynuuję: – „W zamku Skalnej Wieży funduję siedzibę Zakonu Miecza Białego Psa pod wezwaniem Arezara” – Wobec tego przekazu Zan kłania mi się nieznacznie. – „Pozostanę głównodowodzącą armią”. – Wszyscy kiwają na zgodę głowami. – „Moi dotychczasowi najemnicy stają się od tej pory imperialnymi żołnierzami. Za ich szkolenie odpowiadać będą niniejsze osoby: Exon, dowódca ciężkiej jazdy, Ravel, dowódca lekkiej konnicy, Viria, przywódczyni piechoty oraz Kalilla na czele jednostek strzeleckich. Gabu zostaje moim zarządcą, a Adora rachmistrzem i osobą odpowiedzialną za handel. Ponadto ostatnia, wymieniona para odpowiadać będzie za stworzenie siatki szpiegowskiej”. – Wszyscy zgromadzeni ponownie nie wyrażają sprzeciwu.

Nastaje chwila ciszy, aż podnosząc rękę, o głos prosi Exon, na co udzielam mu tego prawa:

– Jaką chorągiew będzie nosiło imperium?

Po namyśle wskazuję na moje wytatuowane udo i gestykuluję:

– „Na godle znajdzie się dziesięć czaszek, bowiem to symbol odrodzonej Anrei, która ziszcza swe życie bez grzechu i jednoczy kontynent Pendorum”.

Następny pytanie stawia Ravel:

– Pojmaliśmy w twierdzy cesarskiego patrycjusza. Czy poderżnąć mu gardło...?

– „Sprowadźcie go tutaj”. – Nie mija wiele czasu, a przed mój majestat pchnięty zostaje na kolana skrępowany, dobrze ubrany mężczyzna. – „Jak cię zwać”? – zapytuję.

– Legus... – odpowiada smętnie.

– „Czy chcesz zaznać wolności, poprzysięgając wierność swej jedynej imperator w mojej osobie”?

Na tę propozycję patrycjusz spogląda na mnie bez wyrazu i w takim samym tonie oświadcza:

– Kiedy ty sama jesteś nikiem, niczym... żalosną buntowniczką... – Spluwa z pogardą pod moje nogi. Na co Viria, z dzikim uśmiechem na ustach, silnie uderza go pięścią w twarz. Legus pochyla się nisko nad posadzką i ponownie spluwa, ale tym razem koło siebie i z krwią. Ja natomiast gestykuluję:

– „W pobliżu twierdzy znajduje się wioska, którą do tej pory władałeś. Może ona nadal należeć do ciebie w zamian za przysięgę wierności. Ponadto uwolnię twoich ludzi, którzy od tej pory będą żołnierzami imperium Pendorum.

Na te sugestie patrycjusz dłuższy czas patrzy w moje oczy. Aż nie wytrzyma siły mego spojrzenia i wbijając wzrok w ciemną posadzkę, lekceważąco odpowiada:

– Zastanowię się... pani...

Wobec takich słów każę go wyprowadzić z powrotem do lochu, po czym kończę zgromadzenie:

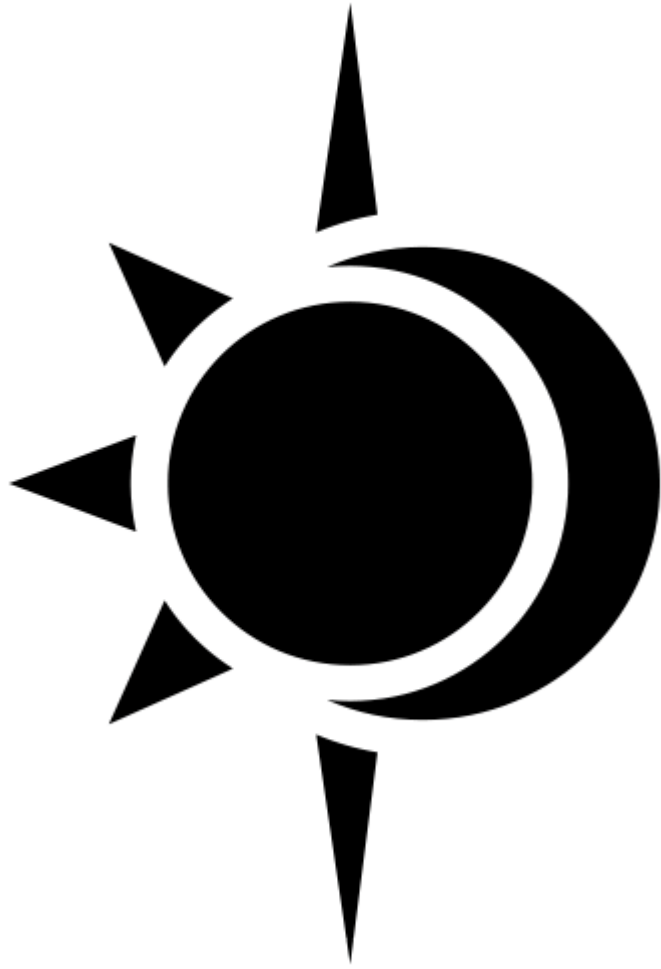
– „To wszystko, możecie się rozejść”.

Sama jeszcze długo, naprawdę długo pozostaję na tronie w obecnej sali tronowej i rozważam rozmaite scenariusze tego, co może się teraz wydarzyć. Lecz jedno wiem na pewno – czeka mnie niezwykle trudna walka i jeszcze wiele niespodzianek. I bynajmniej się w tym nie mylę.

Mija zaledwie kilka dni i przychodzą druzgocące wieści. Do tego czynią to jedna za drugą, zupełnie jakby nawzajem się prześcigały, aby obalić mnie z dopiero co zdobytego tronu.

Cesarzowa Tira maszeruje zbrojnie na skromne włości imperium Pendorum. To było do przewidzenia. Jednakże cios stanowi wieść, że cesarstwo zawiera pokój z królestwem Saladior, które to władztwo także wypowiada wojnę memu imperium. Z kolei patrycjusz Legus po tym, jak wreszcie poprzysięga mi wierność i uwalniam go oraz oddanych mu ludzi, zdradza mnie i ze swoim oddziałem uchodzi w głąb cesarstwa. Zaś na sam

koniec cesarzowa Tira ogłasza się wszem i wobec mityczną Anreą, która przybywa na kontynent Pendorem w celu jego ostatecznego scalenia.



Spis treści

I. NOWE ROZDANIE

II. MIASTO ORIZZO

III. SIŁA NATURA. NATURA SIŁA

IV. ZAKŁĘTY KRAJ

V. KSIĘSTWO RAZZINAL

VI. KONFEDERACJA FAVERS

VII. CHANAT PRECIS

VIII. KRÓLESTWO SALADIOR

IX. CESARSTWO TERRATICOS

X. IMPERIUM PENDORUM